

BARBARA ROSIEK

KOKAINA

Zwierzenia Narkomanki

Tekst zawarty na okładce:

Bóg jest. Skąd o tym wiesz? Bo ja jestem.

Ja jestem. Skąd o tym wiesz? Bo Ty jesteś. Ty jesteś.

Dlaczego? Bo Bóg jest.

Mirce

Basia

Niektórym udaje się przejść na drugą stronę lustra.

Nie byli kochani.

Nie byli wolni.

Miłość i wolność to dwie nici, które wzajemnie się przeplatają i wiążą człowieka z rzeczywistością.

Więź ta została przerwana.

Lecz nawet w ostatnich momentach jest nadzieja, że przyjaciel odnajdzie twoją drogę i pomoże ci z niej zawrócić, ofiarowując ci uwolnienie na drodze w poszukiwaniu miłości.

B. R.

ODSŁONA PIERWSZA: DZIECIŃSTWO

Sierpień 1990.

Przeszłość i przyszłość są ze sobą połączone tylko im znanymi sygnałami. Czas obecny jest bez znaczenia. Istnieje lub zanika bez względu na odmierzenie go przez zegary, odsłania tajemnice lub przecina losy ludzi, którzy nigdy nie powinni się spotkać.

Tak było z moimi rodzicami, którzy powołali mnie do życia. Następnego dnia po powrocie z kliniki położniczej matka ze zdumieniem stwierdziła, że nie śpię i nie chcę ssać pokarmu z obrzmiałych sutek. Niektórzy sądzili, że Bóg pragnie mnie stąd zabrać, od momentu pierwszego krzyku coś nie podobało się Najwyższemu. Z przekazów dorosłych, którymi mnie obarczano nieco później, słowami oskarżającymi, wypowiedzanym przez nich w koszmarnych ilościach, które zlewały się niczym tropikalny deszcz w ścianę, zaczęłam pojmować istotę kłamstwa.

Nawet pułapka, w którą usiłowali mnie pochwycić, była nieprawdziwa. Uciekałam w świat marzeń, w jedno szczególne miejsce na polanie w lesie, który nigdy nie mógł zaistnieć i zbierałam nierealne kwiaty, które do mnie przemawiały systemem kolorów i odcieni. One właśnie spełniały moje marzenia, były ciche i spokojne, ciepłe jak delikatny dotyk wiosennego słońca.

Muszę to opisać zanim dosięgnie mnie kres. Jestem chora a choroba ta jak większość przypadłości, zakończy się śmiercią. Być może to wszystko mój czytelniku wyda ci się nierealne jak Spowiedź szaleńca Strindberga lecz nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Piasek w klepsydrze w stałym rytmie odmierza mój czas. Jestem bliska ostatecznego poznania Tajemnicy, która mnie ściga przez całe życie.

Teraz wiem, że już blisko do jej rozwiązania. Kres wypełnia się w przeciwną stronę, bo nie dane mi było zaistnieć w objęciach miłości.

Moje dzieciństwo. Przez wiele lat czyli przez całe moje życie, nie potrafiłam do niego powrócić, opowiedzieć czy opisać. Może nie było komu. Przyjaciele często okazują się wrogami a obojętni nagle wyciągają pomocną dłoń.

Niedawno straciłam ostatniego przyjaciela a może tylko kochanka lub wroga. Nie wiem. Nie potrafię tego ocenić w wymiarze ciosu jaki mi zadano.

TO przychodziło nocą, czasami już o zmierzchu, siła, która rozdrabniała ucisk wokół serca na tysiące kłujących tępo szpilek, osaczał mnie lęk szumiących drzew i uśpionych ptaków. Wtedy to wędrowałam po mieszkaniu w somnambulicznym śnie, otwierałam okna i wołałam:

Już czas. Dziecięcym umysłem usiłowałam rozwiązać zagadkę nocnego istnienia w innych stanach świadomości.

Podczas dnia ograniczano mój ruch przymusem siedzenia przy stole. Od tej pory szpinak stał się dla mnie symbolem ostatecznego zniewolenia i wyrzygiwałam go publicznie, wręcz radośnie na czyste obrusy lub idealnie wyprasowane spodnie ojca. Wzbudzanie wstrętu oraz napady gwałtownego smutku lub niepohamowanej radości były bronią przeciwko pozornemu zrównoważeniu dorosłych. To mnie wyczerpywało, ale wtedy czułam, że istnieje coś ponad mną, poza obrębem doświadczenia, nad czym zupełnie nie panuję, co delikatnie obejmuje moje spłoszone ciało, potrzasa, przygniata do ziemi, rozdeptuje.

Byłam bita nieustannie odkąd zaczęłam chodzić. Kara cielesna zabija duszę. Moja skryła się w tajemnym świecie po to, by na koniec samej się zgładzić.

Muszę chwilę odpocząć. Przygotowuję sobie nową dawkę narkotyku, co jest niezbędne bym mogła pisać dalej, ułożyć słowa w zdania na tyle sensowne, bym sama potrafiła zrozumieć, co było przyczyną upadku.

Doprawdy, nie pojmuję dlaczego mnie tak okaleczano od początku. Moja postać musiała wzbudzać dziwny rodzaj nienawiści, który daje prawo dorosłym do znęcania się nad bezbronną istotą. Chciano, bym stała się podobna do nich. Wtedy pozorna wina byłaby po mojej stronie.

W tym okresie mogłam jedynie poruszać się bezpiecznie zawieszona na murze dziecięcego podwórka jak ociemniała lub okaleczona w inny sposób.

Szkoła. Przypominała siedlisko występku, grupa bezbronnych niewolników i kat nauczyciel, pilnujący z lubieżnością w sercu rozdziału kar. Domagano się od nas doskonałości. Kto wie, może i spadały głowy. Czasami jakieś dziecko nie przychodziło następnego dnia i skreślano je z listy uczniów.

Już wtedy siostra zakonna, prowadząca lekcje religii, prosiła rodziców, by zaprowadzili mnie do psychiatry, lecz tego nie uczynili. Od tej pory czułam się zawsze oszukiwana przez dorosłych.

Obserwowałam uważniej swoje reakcje oraz odpowiedzi dorosłych. Nie potrafiłam sobie wyobrazić ani początku ani kresu w zagubionej rodzinie, którą zwałam moją. Czas odliczał zwariowane sekundy jak po pijanemu, a moja aktywność stawała się coraz bardziej dla nich niezrozumiała.

Nie mogłam ich jeszcze zaatakować, byłam na to za słaba. Odnalazłam zawór bezpieczeństwa robactwo w ogrodzie, które łatwo dawało się rozdeptywać. Zabijanie małych stworzeń zaraz po śniadaniu, pozwalało mi na lokalizację siebie w tej czasoprzestrzeni, po

której oni poruszali się z lekkością i zdecydowanie.

Już wiem, na czym polega anorexia neryosa. Przekarmienie z rąk złoczyńcy.

Wydawało mi się, że po każdym zabójstwie przemieniałam się w inną formę życia: drzewo, dziką kaczkę nad rzeką, mego sennego psa, czy kolorowego motyla. Byłam zgładzana własną dłonią wystającą stamtąd. Jeszcze nie potrafiłam zapytać, czy istnieje możliwość powrotu, albo już nie chciałam ujrzeć innej postaci. Kres, kres jest jeden. Wszystko było przesiąknięte chęcią ataku jak nieznośnym zapachem. Moje imię często wyłaniało się z rogu pokoju, jak pajak przebiegało w załamki cieni i usiłowało utkać sieć. Polowałam na nie ze szczotką klozetową.

Odkąd nauczyłam się siedzieć, usypiałam kiwając się godzinami lub ssalam palec przy każdej innej czynności. Diagnoza mądrych ludzi brzmiała: choroba sieroca. Od dziesiątego roku życia przestałam płakać, a oczy nabrały przenikliwego spojrzenia, którym hipnotyzowałam otoczenie niczym wąż polujący nieruchomo na drobne gryzonie. Właśnie wtedy ojciec poznawał smak alkoholu.

Teraz moje oczy są puste i szkliste. Zdaje mi się, że gdy je pchnę, wpadną do oczodołu, gdzie po śmierci jest ich miejsce. Wzrok mój powodował, że żadne dziecko nie chciało się ze mną bawić, wyczuwało nieokreślone niebezpieczeństwo, wręcz zagrożenie, jak ze strony rodzica. Nagle stałam się dorosła.

Śmierć kojarzyła mi się z nowym doznaniem, które wywoływało rozpacz lub drażliwość innych dorosłych i jakieś majestatyczne, chwilowe przeżycie lub paniczny lęk lub ulgę tych, co pozostawali.

Sądzę, że właśnie wtedy zapoznałam się z jej smakiem, tej towarzyszki, której prawdziwie jestem wierna. Która prawdziwie jest mi wierna.

Nazaczyłam sobie kres po zakończeniu tego wspomnienia. Jest to 20 października, zaznaczyłam datę w kalendarzu. Tego dnia połączę się z moją gwiazdą.

To Mały Książę nakłonił mnie do wyzbycia się cielesności, bym mogła z nim wędrować po gwiazdnych szlakach. Być może pył kosmiczny powoduje zniekształcenie widzenia rzeczywistości, że uważa mnie za swoją różę.

Wszystko powoli stawało się oczywiste, miało swój bieg, piękno i zło. To inni nie potrafili zaistnieć w roli narzuconej przez samych siebie, spętani w nienaturalnych gestach, zagryzani przez własne twory stanów emocjonalnych. Sądzę, że ich przeszłość, z pozoru zwykła i codzienna, nosiła w sobie ładunek samozagłady, silniejszy od tego, który ja zbudowałam z każdej dawki trucizny.

Ich mroczny świat, wyrzucający ich przy najmniejszym podmuchu w nieznaną

przezeń, po powrocie przesuwiał się o kilka sekund do przodu i powracali w szoku, w zupełnie niezrozumiałe sytuacje.

Zacząłam ich opisywać w swoich dziennikach około 13 roku życia. Jeszcze się nie szprycowałam, pozwalałam sobie na nieduże dawki alkoholu, po których wiedziałam, że jeszcze mnie nie dopadną, a moja przestrzeń poszerzała się o kilka centymetrów i mogłam głębiej oddychać do momentu, kiedy zarzygany głos ojca stawiał mnie na ziemi: Ty kurwo słyszałam z każdego zakamarka ścian.

W ciemnościach nocy, kiedy przychodziło ZŁO, które powodowało całkowite znieruchomienie, widywałam diabły o szklanych oczach lub opadałam w wir tworów nieustannie zmieniających kształty. Usiłowały mnie opleść i skonsumować. Kim były? Nocne wędrowanie wyciszało dzień, mniej bałam się ludzi, jakby obcowanie z demonami dawało mi pewność, że życie ludzkie, jego drobne codzienności, są mało istotne. To Księżyc wskazywał nowe drogi, a Słońce porażało, zmuszało do poszukiwania cienia.

Tutaj, właśnie tutaj byłam po drugiej stronie nieskończoności. Kokaina stała się mną, a ja rozpadem, czymś nieuchronnym, czego nie można powstrzymać, jak drżenia ziemi czy erupcji wulkanu.

Nadszedł czas rozwoju. W ciągu sekundy świat runął, połała się krew i dostałam pierwszej miesiączki. Naprawdę starałam się poczuć kobietą, lecz oprócz bóleści i poczucia bezsilności nie było NIC. Poraziła mnie myśl, że oto mogę stać się matką, gdy jakiś samiec zechce wlać we mnie swoje nasienie w przyływie napadu pożądania i mogę wydać na świat jeszcze jedno niekochane istnienie, być może sobowtóra, którego będę chciała zniszczyć.

Akt seksualny jawił mi się jako tajemnicza siła, która czyniąc cud w naturze, zniewala, poniża, zabiera poczucie własności ciała. Nie pojmowałam cyklu, potrzeby kopulacji w innym celu niż prokreacja. Z zaciekawieniem i dziwną tęsknotą przyglądałam się kobietom w ciąży. Nie wiedziałam, gdzie byłam przed moimi narodzinami. Czułam sprzeczność w dążeniach własnych.

Zacząłam obawiać się śmiertelnego grzechu, o którym opowiadał nieustannie ksiądz na religii. Byłam tak przerażona, że nigdy więcej nie poszłam do kościoła. Byłam pewna, że za niezawinione grzechy zostanę ukarana nagle i boleśnie, porażona piorunem lub niezwykłą chorobą.

Kokaina rozsypuje moje pióro, papier, palce. Poraża zniszczeniem wszystko, czego dotknie. Zabija rodzinę, znajomych. Nie wytrzymuję obecności drugiego bliżej, niż na odległość siedmiu metrów. Przy próbie dotyku wpadam w szał, gryzę, tnę nożem powietrze dla odstraszenia wroga. Urazy wczesnodziecięce. Matka katowała mnie zamiast przytulać.

Mam nadzieję, że teraz nikt mi nie przeszkodzi. Potem odejdę.

Ona od początku chciała mojej śmierci. To proste i oczywiste, dlatego takie porażające. Aborcja emocjonalna, jeżeli nie stać cię na odwagę realnego skalpela. Nie, nie możesz wykrobać własnego dziecka, co by ludzie powiedzieli. Lecz kiedy już się pojawi, można nienawiść przekształcić w poświęcenie, można zawsze obwinić ofiarę. Oto jest, patrzcie, wyrodne dziecko, syn marnotrawny, upadła córka. A myśmy tak kochali, karmili, opierali, dawali pieniądze na najlepszych lekarzy, odcinali pętle, wyciągali z więzień, prali zasrane gacie. Zawsze gotowi do usług, tylko niech już się zabije skutecznie. Co za ulga, można pomnik postawić, kwiaty posadzić, łzy ronić dla społeczeństwa. Można pojednać się z Bogiem. Amen. Oto stanie się. Już niedługo.

Poznawanie tajemnic własnej płci. Według mężczyzn byłam najlepszą dupą do pieprzenia, trzynastka, jeszcze dziecko a już z oznakami kobiecości. Wprawdzie nie potrafiłam tak jak Tajka żonglować wargami sromowymi, lecz moja niewinność rozpalala facetów do białej gorączki, bez udziału mojej świadomości. Sądziłam naiwnie, że drapanie się po jądrach i szybkie wzwody członka, który opadał po chwili, należą do natury ich istnienia. Obudziłam się wieczorem. Kiedy nie piszę, nie pamiętam dnia.

W szóstej klasie zazdrościłam chłopcom wolności bez comiesięcznego krwawienia. Ubierałam się w spodnie, włosy zawsze przystryżone do granic możliwości, by nie wyglądały dziwacznie. Aby się upodobnić do płci przeciwnej, nosiłam w obcisłych spodenkach piłeczki do pingponga. To dawało mi poczucie przewagi, wręcz siły. Byłam dwupłciowa. Dopiero rok później zrozumiałam, że w roli dziewczyny tkwi niepojęta moc. Miałam w sobie broń, którą mogłam zaatakować w każdej chwili, obeszczepiającą. Trzech chłopców z mojej klasy brałam ze sobą na węgry, nad rzekę. Piliśmy tanie wina owocowe i tam poznałam smak dotyku, na trawie chłodnej, zroszonej poranną mgłą. Zwycięzca po bitwie dostawał nagrodę, pocałunek. Nie wiedziałam jeszcze do czego im służą nabrzmiące członki, z których po kilku ruchach tryskała lepka, mętna ciecz.

Jasność bez światła.

Ciemność bez mroku.

Każdy nosi w sobie niespełnioną miłość.

Zaczęło mi brakować pieniędzy. Odczuwałam wręcz fizyczną potrzebę alkoholu. Upijałam się codziennie z dziecięcym uporem, do nieprzytomności, bez odruchu instynktownego lęku przed zagrożeniem.

Kradłam, kłamałam. Tak jak oni.

Ludzie przemijają.

Dopiero teraz, kiedy wiem, że się rozpadam, ktoś mógłby mnie przytulić, maskując twarz w odrażającym geście. NIE! Kolejne oszustwo bezmiłości.

Powoli uświadamiałam sobie różnicę pomiędzy nastolatkami, których nic nie interesowało po wyczerpaniu masturbacją a starszymi panami, którzy wyczuwali moje zagubienie. Właściciel pobliskiego kiosku z owocami zapraszał mnie do środka i pokazywał ogromnego penisa, cmokając rozchylonymi wargami. Dotykałam zaciekawiona pulsującego, czarnego fallusa i słuchałam jęku zadowolenia. Nigdy nie zaproponował mi stosunku czy minety. Sądzę, że obawiał się mojej zdrady. Miał żonę i małą córeczkę.

Jeżeli będzie się podchodziło do nałogu jak do osobistego dramatu, żalu czy nieszczęścia, a nie jak do choroby, nigdy nie wybaczymy pacjentowi jego szaleństwa.

Podobieństwo uzależnionych jest bliźniacze. Chodzi tu o kwestię wyboru trucizny.

Właśnie w tym okresie wyostrzył mi się zmysł węchu i rozpoznawałam nadchodzącą śmierć ludzi, którzy mnie otaczali. Wraz z zapachem pojawił się obraz, odbijany jak na ekranie gigantycznego kina śmierć drobnym krokiem baletnicy, z rozkołysanymi piszczelami, brała skazanego delikatnym muśnięciem za rękę i popychała w stronę wąskiego tunelu. Po tej stronie pozostawało jedynie ciało, wiotkie, w fioletowopomarańczowych plamach, przypominające nadpsuty, dojrzały owoc, z przestraczem w porażonych oczach. Z ostateczną ulgą. Pytałam ją, dlaczego ludzie tak odmiennie przyjmują oczywisty los, lecz śmierć mijała mnie z lekceważącym gestem i mówiła: Nie, na ciebie jeszcze nie dano mi pozwolenia.

Jej zapach, zbyt przedłużany, osaczał mnie, niczym zwierzę zasypywane w norze. Wierzę, że pisanie nie stanie się kolejną obsesją. I tak nie zdążę się o tym przekonać. Rozbiegane gesty podstarzałych dżentelmenów w tramwajach czy autobusach (na inne środki nie było mnie stać, nie byłam wtedy dziwką wożoną samochodami) spowodowały, że odkryłam mechanizm wzbudzania łechtaczki i oczywiście związaną z tym przyjemność doznawania wielokrotnego orgazmu. Onanizowałam się codziennie nad ranem lub po powrocie ze szkoły, by osłabić napięcie po awanturach z nauczycielami.

Pamiętam, że po kolejnej skardze za spanie w ubikacji po pijanemu w szkole, czy palenie papierosów na lekcji, rodzice zdobyli się na jedną reakcję dostałam lanie, solidne, z dozą pewnego okrucieństwa, o które nigdy ich nie posądzałam, chociaż kopano mnie podczas zabawy, kiedy miałam cztery lata.

Codziennie wykonywanie wyroku. Ile razy można być skazanym za to samo?

Ojciec w tym czasie był toczony przez szatana alkoholu i problemy z córką burzyły mu wizję pólennego przetrwania.

Pozbyłam się lęku przed utratą czasu, bez chaosu gestów, spokojnie opadałam w

otchłań. Jak długo można istnieć bez szansy na przetrwanie. Nie pytam. Każdy dochodzi do swego kresu sam. Każdy zna swoją wytrzymałość. Czasami dzieje się powstrzymuje ostateczne działanie. Ktoś na mocoś wbrew wszelkiej logice czy prawom. Jakaś moc ment przystaje, by nasłuchiwać wołania w. sobie. Inni także nasłuchują. Wszyscy oczekują zmiany. Kto wierzy w nieprawdopodobieństwo?

Kto ma w sobie taką moc, by powstrzymać ciosy?

Kto prawdziwie obroni się przed złoczyńcą?

Kto, pytam się, kto no kto to zrobi moimi rękoma?

Śmierć powracała do mnie wielokrotnie. Nasze obcowanie stało się naturalnym rytuałem, jak spotkanie kochanków, witałam ją pospieszonym skinieniem głowy, z wykrzywionym uśmiechem. Miała dla mnie dużo czasu, pomimo ciężkiej pracy. Powoli osaczało mnie niejasne przekonanie, że mogę liczyć na jej lojalność. Lecz nigdy nie chciała zdradzić tajemnicy kresu. Będiesz czuła, kiedy przyjdę po ciebie, to będzie zupełnie coś innego niż nasze spotkania teraz mawiała lekko zniecierpliwiona To tylko chwila, ulotna, nieistotna w całym procesie, niczym cięcie skalpelem. To, co najgorsze, jeszcze przed tobą. Śmierć odchodziła niedbale zaciskając pętlę.

Jeszcze potrafiłam zbliżyć się o jeden milimetr do bólu drugiego człowieka. Był to dobry czas. Świat wydawał się tajemniczą otchłanią, po której wędrowali dobrzy i zli ludzie, z delikatną przewagą po stronie okrucieństwa, po to by stale zadawać sobie ból, jakby życie było chorobą, a oni chirurgami wycinającymi przegnite tkanki. Nawet śmierć dobierała ciosy w przeróżny sposób. Czyją misję spełniała?

Kiedy to się zaczyna, no wiesz, kiedy odchodzi się tam..., tu, za życia... tam, bardzo daleko, tak bardzo daleko, tam gdzie kończy się los.

Mój nałóg jest martwy.

Najwięcej życia ma w sobie śmierć.(!)

Śmierć naśmiewała się ze mnie, kiedy usiłowałam porozumieć się z dorosłymi napadami dziecięcej ufności, lecz wszystkie gesty trafiały w przestrzeń zagęszczoną kłamstwem i zagubionymi domysłami.

Zupełnie nie pojmujesz świata chichotała.

Mam dopiero 14 lat wyklócałam się.

To zupełnie wystarczy.

Na co? pytałam, ale ona dłużej nie chciała słuchać.

Rozpalona ziemia pod stopami. Ślad zanika. Muszę sobie zrobić zastrzyk. Zanikają mi sploty żyłne na dłoniach. Pewnego dnia obudzę się bez rąk. To także jest jakieś wyjście.

Piłam coraz częściej, kiedy odkryłam, że wcale nie muszę chodzić do szkoły. Kładłam wirującą głowę na rozgrzanej ziemi, a niebo zbliżało się i oddalało jak lekko wzburzone morze. Świat na swojej kruchej, chwiejnej podstawie kusił i wciągał coraz głębiej na szlak, którego zakręty były nie do odgadnięcia.

Czy Atlas także krzepił się winem podczas pracy dźwigania ciężaru ziemi?

Czym jest Nieobecność?

Sądzę, że odratowano mnie po raz ostatni. Śmierć kliniczna to taka śmierć, z której czasami powraca się by rzec: Niestety.

Byłam przekonana, że po każdym upojeniu oszaleję i zamkną mnie w Zakładzie Dla Obląkanych Dzieci.

Nauczyłam się nocami nasłuchiwać Kosmosu.

W życiu można przetrzymać tylko jedno piekło. Każde następne jest lustrzanym odbiciem. Dlatego drogi czytelniku nie wierz w ani jedno zdanie.

Jedyna choroba to Rozpacz. (Frankl).

Zdarzało mi się przyglądać w szpitalach śmierci nie mojej, powolnej, systematycznej, zmęczonej, biegnącej do kresu ściśle wyznaczonym torem, bez świadomego spojrzenia w ból. Doświadczanie obłądki na trzeźwo może człowieka wpięprzyć. Dlatego łaskawość nałogu jest przeogromna. Usypiasz powoli na całe lata, by za dużo nie odczuwać. Inaczej samobójstwo przychodzi wraz z pierwszym krzykiem.

Zaczęłam przeczuwać, że w moim zachowaniu jest coś niezwykłego, co niepokoi dorosłych i starannie przygotowywałam sobie obronę listę kłamstw, dokładnie uporządkowaną według hierarchii sensu i prawdopodobieństwa ich zakłamanego systemu wartości.

Konie pasące się na łące były bytem realnym, namacalnym i bezpiecznym. Krzyki dorosłych, trzaskanie murów, rozpalone twarze, naciski fal gniewu. Ten świat był nie do wytrzymania.

Jeszcze wtedy nie byłam w ciągu, z niewielką zależnością, jeżeli można w ogóle stopniować formy zniewolenia, byłam dzieckiem, kiedy przestano mnie zauważać, ignorowano sygnały, sploty zdarzeń, eksplozje wzroku, twarz na murze. Nikt nie wytrzyma osaczenia próżni. Rozplata się, pojękuje. Amerykanie twierdzą: Dwa tygodnie deprywacji sensorycznej, później obłądki. Decyzje zapadały zanim pozwolono mi żyć. Jaki boski wyrok, nieodwracalny, ostateczny.

NIENAWIDZĘ CIĘ ROSIEK. ZNISZCZĘ CIĘ DO KOŃCA.

W poprzednim wcieleniu napisałam „Pamiętnik narkomanki”. Tak sądzę. Być może

była to zupełnie inna dziewczyna. Płaczą mi się moje życiorysy, rozdzielone na zbyt wiele torów i fal. Musiałam być i tu i tu i tam, albo zupełnie gdzie indziej.

Końcowe świadectwo szkoły podstawowej nauczyciele wręczyli mi z ulgą. Tak jak skazanemu odczytuje się wyrok. Odpowiedzialność rozłożona na tłum.

Nagle odkryłam tajemnicę istnienia. Oni tak długo żyli, ponieważ karmili się nienawiścią. Pewnego dnia spotykasz człowieka w masce na swojej drodze. I cios zostaje dopełniony. Przy próbie wyjęcia siekiery z pleców zalewasz się własną krwią.

Pewnego dnia wzięłam do ręki małe, cienkie jak ampułka pudełko zapalek i poszłam do dawnej szkoły. Wszystko odbywało się jakby poza mną, nierealne, chociaż rzeczywiste. Moje nogi skierowały mnie do pracowni geografii. Stały tam stare, wysłużone mapy. Nigdy nie potrafiłam zapamiętać nazw własnych i były one dla mnie prawdziwą udawką, a nauczycielka biła mnie dziennikiem po głowie. Dłoń oraz jej odbicie rozpały ogień. Następnie głos w lewym uchu stanowczo nakazał mi odejść z tego miejsca.

Pożar ugaszono szybko, a policja zabrała mnie na przesłuchanie. Nie potrafiłam mówić, wiedziałam tylko, że od tej pory dorośli nie mają żadnego wpływu na moje życie. Byłam pod opieką Mocy. Zostałam uwolniona w pół słowa, w pół gestu zawodu czy zdziwienia. Wiedziałam, że wszyscy jesteśmy skazani na ogień, który nas pochłonie, skruszy, rozsypie pozostałości, ptasi puch, dobrze wysmażone mięso. Prawdziwa uczta Bogów-ludojadów. Jestem bardzo zmęczona. Wodniste stolce. To mi przypomina epidemię cholery. Nawet własne gówno staje się własnym wrogiem. I chcąc nie chcąc stajesz się typem analnym. Kiedy zdarza mi się moment trzeźwości doznaję olśnienia. Są nim słowa, obrazy, sytuacje. A przecież to nie kokaina, to ja sama, tylko ja obdzieram się ze skóry do pulsującego mięsa, ociekającego zatrutą krwią. Amen.

Musiałam ostatecznie zostawić ich samych, odejść cząstkowo. Wędrowałam godzinami po ulicach miasta naznaczonego świętością i prostytutką, modlitwą i przekleństwem za niespełnienie modlitwy. O tak, tutaj istniała idealna równowaga zła i dobra, można było przykleić się do którejś ze stron jak kawałek przezutej gumy i trwać, rozrastać się lub gubić, przekraczać granice w milczeniu, ze skargą lub ze śpiewem. Przypatrywać się spokojnie jak giną inni.

Policja już nie zatrzymywała mnie, oswojona z moją postacią wtopioną jak stały punkt w pejzaż miasta.

Wilki muszą wędrować. Ludzie polują na nie w znajomych lasach i palą im sierść. Dlatego nie należy przystawać, przyglądać się zbyt długo, rozmawiać. Atak przychodzi zbyt szybko. Wzięłam dzisiaj zbyt dużą dawkę kokainy. Zawsze, kiedy ucieka mi myśl w stronę

dzieciństwa, muszę natychmiast uzyskać stan nieważkości. Inaczej roztrzaskuje się na pierwszym wspomnieniu.

Czułam, że nadchodzi, że mnie oszukuje, nawet ona, moja śmierć, przepływa przeze mnie codziennie jak rzeka płynie wiekami przez to samo miejsce. Nie był to kres. Czekałam na transformację.

Ojciec nie wytrzymał nacisku, odnalazł swoje miejsce w butelce. Był to jego osobisty pakt ze śmiercią. Wysoko procentowy alkohol. Dokładnie przyklejony do dna szklanej postaci. Od tej pory stał się bełkocącym facetem, zawsze leżącym obok łóżka. Nigdy nie zdążył się do niego doczołgać, w cuchnącym uryną ubraniu. Kiedy za długo się kiwał w takt swojej choroby sieroczej, powalałam go słabym pchnięciem, a on miał w oczach prośbę i żal, i ulgę, i przekleństwo. Matka usiłowała zachować pozory, uśmiechała się do sąsiadów i rozmawiała o pogodzie, o cenach żywności i kryzysie ogólnokrajowym.

Nikt, absolutnie nikt nie przeczuwał do Końca, co naprawdę się TU wydarzyło i kto zawinił.

Kiedy wszystko obejmowałam wzrokiem i przyglądałam się naszej sytuacji, nadchodziło przekonanie, że całość jest jedynym sensownym rozwiązaniem naszej egzystencji, zanurzonej w specjalnej odmianie obłędu i cierpienia.

Całością był brak miłości.

Potajemnie przygotowywałam cios przeciwko sobie jakbym była blisko zdobycia ostatniego szczytu. Tylko głupiec pragnąłby odmiany i szczęścia, które nie istnieje. Sny. Na początku były proste. Często skradałam się z zapałkami. Czy przypominałam dziewczynkę z baśni Andersena? Dlaczego matka tak często mi ją czytała? Byłam zbyt mała, aby zaprzeczyć. Czy muszę wychodzić na ulicę? Stos płonie, pieszczoney delikatnymi podmuchami wiatru. Spokojnie wychodzę z pomieszczenia, którego nie znam. Głos woła: Odejdź, ja dokonam reszty zniszczenia.

Chcę oglądać ogień jako misterium gry.

Bajka o dziewczynce z zapałkami kończy się niezmiennie na tej samej stronie, w identyczny sposób.

Policja czekała aż zdradzę się słowem, lecz nikt nie dostrzegał wibracji wzroku, pulsującego arytmicznie serca, nikt nie zaglądał do tajemnicy mojego umysłu. Zawsze masz pewność, że umrzesz, i ta doskonała myśl dodaje ci sił. Można nawet powracać w opustoszałe ruiny wspomnień, przekłete imiona.

Nie pamiętam o czym mam pamiętać.

Jedyna ulga od roku w snach nie topię się w gnojówce.

Były takie dni, które dawały złudzenie nowego czasu, a przeszłość zdawała się być zapomnianymi planetami, które być może zostały już odkryte, lecz są zbyt odległe, by ściągały wspomnienie.

Byłam kolorowym motylem, który zachwyca w locie i zakluty pod szkłem. Mogłam nie istnieć. Głód miłości, który wcześniej atakował mnie z żebraczą zawziętością, nagle ustał. Percepcja. Spostrzeganie. Musiałam nauczyć się patrzeć. Dostrzegać przedmioty i ludzi, zdarzenia. Inaczej mogłam wszystko przegapić, nawet swój nałóg. Udawałam przecież, że nie istnieje.

Dlatego tak mocno mnie unikała. Butelka pod oknem, ptak na parapecie okna mego pokoju, zarys szafy, puste zwierciadło, druga butelka, ołówek obgryziony na klasówkach, dziura w lewej skarpetce, symptomy, kompleksy, kleksy, seks. Zaniki dzieciństwa. Nie mogłam tego omijać. Inaczej mogłam być skazana na wieczność. Śmierci nie wolno było zdradzić swojej tajemnicy. Sama ją odkrywałam przyglądając się agonii ojca. Cały odcień skóry, brązowe oczy przypominające korę młodego dębu, czerń włosów jak nieoświetlona strona Księżyca, zmierzwione, przypominające sierść po deszczu. To wszystko zabrałam ojcu.

Byłam cieniem matki, jej wyglądu, niepoprawnej dobroci na granicy oszustwa, szloch, który wybuchał przy każdym wzruszeniu, wypełzał z oczu, osaczał pajęczą siecią pozorów i chciał zarażać, ciepłego dotyku zmrożonej dłoni. Nie mogłam być po jej stronie, już nie potrafiłam.

W dzieciństwie zdążyłam poznać naturę morza. Jego bezmiar był w stanie przyjąć mój niepokój, podobny do falowania, nagłych sztormów i wyciszenia. Często pozostawiano mnie samą na dzikich, pustych plażach. Tam potrafiłam sobie wyobrazić, że wszyscy mnie kochają. Brakuje mi tlenu. To na razie problem nielicznych. Sądzę, że za sto lat podusi się większość ludzi. Chyba, że staną się istotami beztlenowymi.

Seks zaczął powstawać we mnie jak przyczajone zwierzę, wygłodniałe, węszące podstęp. Tęsknota wielu mężczyzn za burdelami jest oczywista i zrozumiała. Owładnięci ciemną stroną popędu, z natury swej poligamiczni, z przymusem sprawdzania się wobec wielu kobiet, obwarowani zakazami w systemach społeczno-religijnych, cierpieli męki piekielne. Żyłam w przekonaniu, że większość mężczyzn myśli jedynie o sposobie umieszczenia członka w jakiegokolwiek kobiecie.

Zacząłam być zaczepiana pod hotelami przez mężczyzn w średnim wieku, przeważnie na delegacjach, w tanich garniturach i z niespokojnym głodem w oczach. Umykałam pospiesznie, zadowolona z ich rozczarowania i mokrych plam w kroczu. Uczyłam się wtedy

nocować na dworcach w specjalnych kryjówkach dla bezdomnych, gdzie policja nie zagląda w obawie o własne życie, a także w obskurnych, zarzyganych klatkach schodowych, zateńlonych strychach, czy w budce telefonicznej, skąd przepędzali mnie dzwoniący. O tak, budka telefoniczna to prawdziwy salon dla jednej osoby. Problem polega na tym, że musisz przybrać kształt embriona.

Niekiedy odwożono mnie do domu, już bez wstępnego przesłuchania czy pobierania odcisków palców. Do aresztu się nie kwalifikowałam, wychudzona, z zaciętą twarzą, niemym wzrokiem i zagubionymi gestami.

Za każdym razem upewniałam się o nieuchronności losu, jaki tkiałam misternie w marzeniach.

Nie było we mnie żadnej chęci zmiany. Któż mógłby mnie przytulić? Lekarze wahali się pomiędzy rozpoznaniem schizofrenii a autyzmu dziecięcego. Mylili się w obu przypadkach. Zdarzało się, że mój czas powracał do ziemskiego systemu i oznaczał CZAS LUDZI, KTÓRZY NAJCZĘŚCIEJ PRZECHODZĄ OBOK. Wiem, że moja śmierć już wtedy byłaby dla wielu wybawieniem, lecz diabeł kocha uzdolnione dzieci i czuwa, by los przedwcześnie nie popsuł mu planów. Taka dusza musi dojrzeć w swoim szaleństwie, wykoślawić się, przyjąć stan zniekształcenia.

Jakże miłosierny musi być Bóg, który przebacza. Chociaż nie jest to takie pewne. W przyplwywie poczucia osaczenia, że grzech śmiertelny staje się jedynym piętnem, modłę się żarliwie, lecz czuję, że Niebo milczy tak, jak ja sama zamknęłam się na świat ludzi. Zostałam zgwałcona przez trzech młodych mężczyzn, w 16 roku mojego życia, w nocy, w jednym z parków obcego miasta, dokąd zawędrowałam po zbyt dużej dawce alkoholu. Nigdy nikomu się do tego nie przyznałam. Odtąd spoglądałam na mężczyzn z wystudiowaną nienawiścią. Wspomnienie tamtej nocy wyzwalało we mnie niepohamowaną agresję, wystarczył niewielki bodziec kadr filmu, przeczytany fragment książki, przypadkowy dotyk dłoni męskiej.

Atakowałam z furią wszystkie przedmioty przypominające kształtem penisa. Podczas badania lekarskiego dostałam torsji, kiedy lekarz usiłował zbadać moją pierś. Wtedy po raz pierwszy popełniłam samobójstwo.

ODSŁONA DRUGA: POCZĄTEK NAŁOGU

Wrzesień 1990

Czas jest obecny.

„Potem trzeba skończyć z grą, stłuc lustro i przekroczyć granicę, za którą absurd przewycięża siebie.”

Albert Camus

„Człowiek zbuntowany”

Weszłam ponownie w swoje ciało. Control yourself. Jeżeli Bóg istnieje w świadomości ludzi, to po zniszczeniu człowieka przez samego siebie, dokąd się uda? Czasami dobrze jest się wyrzygać. To oczyszcza i daje do myślenia. Uczyniłam to wczoraj, w drodze do Warszawy, w expresie Opolanin. Przedawkowałam, a także niepotrzebnie po zażyciu narkotyku wypiałam sok dla dzieci typu Bobofrut o smaku morelowo-jabłkowym. To jest lepsze od sraczki, którą przeżyłam w pociągu tej samej relacji tylko w innym terminie. Sraczka trwała całą trasę, czyli trzy godziny. Rzyganie jedną minutę.

Na Centralnym zebrzące ćpuny z HIVem. Polityka jest najbardziej śmierdzącym gównem. Na razie nikt nie chce naprawdę wyhamować epidemii. Selekcja naturalna. O.K. To nowe zaczęło się, kiedy skończyłam siedemnaście lat. Usiłowałam jeszcze chodzić do szkoły, najlepszego liceum w mieście. Mój poziom intelektualny był mimo wszystko bardzo wysoki i nieźle radziłam sobie z rachunkiem prawdopodobieństwa wszelkich możliwych zdarzeń.

Codziennie rano na drodze do szkoły stawał wielki pies o szafirowych oczach i głucho przemawiał ludzkim głosem. Omijałam go powoli, oddawałam kanapkę z szynką i szłam w przeciwnym kierunku, do parku lub na skwer z fontanną. Schudłam siedem kilogramów. Nauczyciele nie wzywali rodziców z nadzieją, że pewnego dnia nie przyjdę.

Na wagarach zaczęłam przyglądać się ludziom inaczej. Byli szarozielonymi pasożytami usiłującymi pożywić się moją duszą; włożyć do ciasnej szufladki ich umysłu, sklasyfikować i zamknąć w Szpitalu Psychiatrycznym. Drażnił ich nieznaną motyl, bez nazwy. Ten chłopak siadał na mojej ławce od wielu tygodni i zabierał przestrzeń. Sądzę, że była to jedyna istota, która kochała mnie bezinteresownie, bez samczego pożądanego, bez skargi czy żalu. Był wysoki, ciemnowłosy o brązowych, zagubionych oczach. W delikatnych, prawie kobiecych dłoniach, trzymał zawsze książkę jakiegoś filozofa: Kierkegaard, Platon, Marcus. Bałam się jego miłości, jego czystości. Przypominał mi zupełnie absurdalnie tamto zdarzenie z parku, kiedy brutalnie pozbawiono mnie dziewictwa. Ten pierwszy, który

niespodziewanie pchnął mnie na trawę, był na pewno podobny do spokojnego chłopca, miał niespracowane ręce artysty, które zadawały ból, zdzierały ubranie, rwały krocze. Jego najmocniej poczułam w sobie, był pierwszym penisem, który mnie poraził. Nie pamiętam żadnej twarzy, żadnego imienia nie znam do dzisiaj. Trzeci nie miał orgazmu i bił mnie po twarzy pięściami. Drugi oddał swoją spermę na brzuch. Nie krzyczałam zaskoczona okrucieństwem. Wstyd paraliżował krtań.

Pogodzić się z tajemnicą świata. Znałam jednego schizofrenika, który to uczynił. Od tamtej pory słowa raniły jak ostre kamienie, wbijane w delikatne ciało dziecka. Ach, gdyby wszyscy ludzie zamilkli chociaż na kilka godzin. Cisza poraża im umysły.

Mężczyzna stał się oślizgłą, lepką zmią, która usiłowała wpełzać w moje łono i złożyć jaja. Co noc rodziłam tysiące drobnych, ślepych węży i topiłam je w sedesie. Symbolika mordy. Później nosiłam przy sobie długi, wojskowy nóż albo brzytwę, by przy najmniejszym zagrożeniu odrąbać męskie genitalia.

Śmierć jako ekstaza. Każdy rodzaj narkotyku doprowadza cię do ostatecznej klęski odrętwienia.

Przystojny chłopiec w parku. Planowałam krwawą zemstę, z pięknym ciałem, na wpeł rozkwitłym, ze świeżym zapachem życia. Odrąbać nos! Wydłubać oczy, wyrwać język! Wyłuskać ze stawów palce! Gdyby mógł się odradzać jak głowy smoka czy ogony jaszczura. Nienasylenie w wiecznym dręczeniu.

Połączyłam go podczas stosunku. Domagał się gestów czułości, ciepła ciała. Musiał odejść. Chaos palców. Agonia to jeszcze nie koniec. Był pomniejszony o cierpienie jakie mu zadałam, skurczony, bez wyjaśnień, bez pożegnalnej kolacji, czysty seks, przyjemność dla odrazy.

Nie, to nie ja krzywdziłam. To ONA. Lecz JA poznałam później, kiedy wydawało mi się, że jest dobra. Lecz ONA potrafiła tylko nienawidzić.

Czułam się jak wypróżniona kiszka stolcowa. Wszystko śmierdziało w najbliższej przestrzeni i było opustoszałe. Zapadałam się w przydrożne kałuże, z nadmiarem śliny w ustach.

A przecież cały czas przynależne mi było ssanie.

Atakowałam samą siebie, cięłam nożyczkami włosy, żyłką wycinałam wzory na podbrzuszu, wieszalam trzewia na klamkach. Ratowana, uciekałam ze szpitali. To uspokajało, dawało gwarancje bezpieczeństwa.

Nocami nieznanego głosu krzyczał za oknem: ZABIĆ ŚWIADOMOŚĆ!!!

Uporządkować rozpacz????!!

Sobota jako dzień spełnienia. Czy naprawdę jest siódmym dniem tygodnia?

Dlaczego kokaina? A dlaczego bomba atomowa?

To stało się na prywatce, na przyjęciu w pewnych sferach towarzyskich. Byłam interesującym przypadkiem, którym można było się zabawić podczas nudnej nocy. Moja nieobliczalność była żywą legendą w mieście. To było lepsze na ten czas, niż nieustanne roztrzaskiwanie siebie o bruk.

Wcześniej, podczas nocnego spaceru, widziałam mężczyznę rzucającego się pod pociąg. Nie potrafiłam go zatrzymać. Zmiażdżone zwąły ludzkiego mięsa wstrząsnęły mną i uważniej zaczęłam przyglądać się swemu ciału. Nadal miałam delikatną skórę, pomimo cięć, szczególnie czułą po wewnętrznej stronie ud. Tam zawsze podążają dłonie podnieconych mężczyzn.

Rozpoczęła się demonstracja.

Plakat na ścianie ogłaszał warunki umowy: Po pierwsze: kobiety nie połykają spermy. Po drugie: mężczyźni dokładnie się myją przed stosunkiem. Po trzecie: żadnego sadomasochizmu.

Kobiety skrywały wrogość, byłam najmłodsza i świeża, wręcz nietykalna. Mężczyznom drgały pośladki, klepali się po napiętych krocach.

Nie chciałam pić alkoholu. Chciałam poczuć wszystko. A poza tym właśnie mój ojciec powiesił się w deliryjnych zwidach na śliwie w naszym ogrodzie. Nie chciałam odciąć jego ciała. Podano NARKOTYK. Cocainum hydrochloratum 5%, czyli metylobenzoiloeogonina, jak wyjaśnił mi nagi chłopak w podnieceniu.

Pierwszy niuch. Mój Boże, wybaczone, że cię przywołałam w takim momencie. Zdrętwienie końcówki nosa z ożywym chłodem w parną sierpniową noc. Zapłonęłam rozszerzonymi źrenicami i bardzo powoli rozejrzałam się wokoło. Mężczyźni machali na mnie olbrzymimi kutasami. Przyklęknęłam, by je całować. Nagi chłopiec poprowadził mnie do wielkiego łoża z baldachimem.

Czułam w sobie miliony odmian plemników.

Orgazm. Big "O" jak mawiają Anglicy. Po miesiącach milczenia słowa wylatywały ze mnie bezładnie, w uporządkowanym chaosie. Spowiadałam się dziesięciu sprawiedliwym. Każdy penis był objawieniem zmartwychwstania...

Dławi mnie dzisiaj mój strach, jak niedokończony wiersz. Pogoda smutna i deszczowa, brak głębokiego oddechu. Już nie jestem odpowiedzialna za moje szaleństwo. Każde cierpienie ma sens. Nie każdy dochodzi do jego istoty.

Planowałam ostateczne samobójstwo wiele razy.

Ból wadliwie filtrujących nerek paraliżuje ruchy. Kokaina doskonale cię wyniszcza, wypala jak broń chemiczna.

Wspomnienie euforii stawało się kluczem istnienia, pozbywania się depresji. Zdawało mi się, że jestem wyrzyganą kupą gnoju, z naderwanymi wargami sromowymi, z ssącym bólem w piersiach, rozgniecionymi pośladkami. Po seansie pozostała fizyczność, którą natychmiast należało zlikwidować.

Kolejna dawka. Bezużyteczność ciała. Wystarczy powiedzieć: NIE! Wydostać się z pułapki, wydostać się z ciała.

Matka odeszła, a może tylko wyprowadziła się. Zostałam sama, mieszkanie należało do mnie. I nic więcej.

Jestem tym, kim (czym) jestem. Jeżeli nie potrafisz mnie zaakceptować, odejdz. Oboje będziemy szczęśliwi.

Nurt surrealistyczny? Oto cała rzeczywistość. Początek wielkiej wyprawy na stronę nierealnego czasu. Jestem osłabiona nieustannym przekraczaniem granicy. Ciało jeszcze funkcjonuje w zwolnionym tempie, nie przestawia się na sen zaprogramowany na odegranie innej roli. Wędrowałam po mieszkaniu bez zapachu żadnej postaci, słuchałam dereistycznej muzyki, która stawała się moim wnętrzem. Nie odbierałam telefonów, listy wyrzucałam do śmietnika. W koszmarach nocy powracały obrazy z dzieciństwa, wyzwolone z podświadomości, atakowały bestie, demony, potwory.

Niekiedy godziłam się na zwykły seks, kochanek bez nazwiska czy imienia. Dotyk wyzwał reakcję spazmatycznego płaczu.

Mały Książę opuścił Ziemię beze mnie. Gwiazdy po śmierci zamieniają się w czarną dziurę. Co w niej jest?

Szeptanie ścian. Nieustanne. Dłużej tego nie wytrzymam.

Raz w tygodniu otrzymywałam przekaz pieniężny od matki i kupowałam czekoladę. Lesbijki o ciepłych łonach i starych piersiach, które nigdy nie były wypełnione mlekiem. Zawsze stanowiły ostateczny ratunek, trochę pieniędzy na towar za przytulenie, pocałunek czy pieszczotę sutek. Można je nienawidzić, nie można ich nie kochać. Uwierzyć, że duszność nie istnieje, nie dławi, nie wytrąca pióra z dłoni. Dzisiaj mogło być po wszystkim.

Jasność zniknęła z mojego życia, budziłam się o zmierzchu jak kret czy nietoperz. Czasami wydłubywałam dziury w ścianie, lecz zaklejano je systematycznie. Chciałam, by ktoś mnie odwiedził, porozmawiał, przekonał, że pomimo absurdu codzienności najważniejszy jest fakt Istnienia. Przecież nawet rodzice zabierali mnie z bezludnych plaż. Tylko w jakim celu? Przecież nie domagam się miłości, już nie. Więc czego?

Napisałam do matki: Świat oszalał, miasto jest przeklęte w swojej świętości. Wtedy zobaczyłam siebie w lustrze, wychudzoną, z zapadłą twarzą, zlepionymi tłustymi włosami i przestraszyłam się, że Bóg pozostawił mnie tutaj w połowie. Tutaj był mój obóz koncentracyjny, moja poświęta wygłodzonych żeber.

Czy można mnie zatrzymać w objęciach, w przytuleniu?

Musiałam ich odnaleźć, ludzi z kokainowego spotkania. Następny atak ścian byłby nie do wytrzymania. Ukradłam psychiatrze pieniądze na narkotyki. W domu wycinałam papierowe słońca i naklejałam na ścianach. W ten sposób pozbyłam się księgozbioru, ostatniej rzeczy, która mnie łączyła z dzieciństwem.

Jadłam chrupki kukurydziane i piłam piwo z puszek.

Spokojnie Basiu, ten dzień jest do przeżycia. Poczułam to właśnie teraz. Puls jest bardziej wyraźny, spokojny, równy.

Dlaczego Andre Malaroux zabił śmierć? Pozostało jedynie piekło. W moim ogrodzie rosły kwiaty dobra i przyciągały zapachem ptaki, motyle i dziwne owady bez nazwy. Swoisty mikroklimat źle wpływał na trzepoczące serca, rozgrzewał skrzydła i opóźniał start. Dzikie ptaki zawsze muszą być czujne.

Pod wpływem kokainy oddawałam się każdemu mężczyźnie za każdą cenę. Total orgazm. Gotowość do współżycia jest wprost niewyobrażalna.

Czas zatrzymał się i nie przemijał na zewnątrz, tylko we mnie samej, jakby na przestrzeni stuleci zachodziły niewielkie zmiany krajobrazu, a w środku szalone łańcuchy reakcji chemicznych. Odnalazłam stały kontakt z dostawcą koki za jeden seans erotyczny w miesiącu. Dystrybutor miał różne wymagania, czasami musiałam jedynie ssać penisa przez większość nocy, co było trudne, bo wtedy jeszcze kokaina wyzwała we mnie napady śmiechu, a penis wypadał z ust i kurczył się gwałtownie.

Efekt pierwszego wzięcia kokainy całkowicie mnie zaskoczył. Gdyby ktoś mnie uprzedził, że po chwilach niebiańskiego uniesienia, ba, ekstazy kosmicznej, będę marzyła jedynie o całkowitym unicestwieniu każdej myśli, ruchu, każdej żywej cząstki mej istoty. Jakże obrzydliwy staje się mózg własny z pokładami pamięci, rozkołysanymi emocjami.
DZIECIŃSTWO.

Jedno pchnięcie ścinające krew. Ptak z obciętych skrzydłami, który drecze w miejscu, podskakuje z nadzieją na lot.

Matka niekiedy w odruchu litości wyciągała dłoń, lecz lęk przed topielą powodował, że zaciskała ją w pięść.

Bezsilność. Jest prawie tak silna jak uczucie poniżenia.

Zaczęłam palić ogromne ilości papierosów. Zasłona dymna, która pozornie odgradzała od świata. Maską uśmiechu dla klienta. Brałam kokainę w pewnych odstępach czasu, lecz systematycznie, jak lek zapisany przez zaufanego lekarza. U nas jest wiele problemów z tym specyfikiem. Jeszcze nie ta sfera walutowa.

Nauczono mnie preparować cocainum hydrochloratum i robiłam sobie zastrzyki dożylnie. Tańczyłam ponad miastem, w tanecznych podmuchach wiatru, wirowałam obok przechodniów, wpadałam na witryny sklepów, rozstrzaskując szyby wystaw. To niesamowite uczucie zatrzymać się na wystawie i znieruchomieć jak eksponat. Pokonywałam ciszę przestworzy, mówiłam, mówiłam, nawoływałam, śpiewałam, krzykiem budziłam śpiących, domagałam się miłości. Po przebiciu się przez chmury, spadałam w ramiona nieznajomych mężczyzn, wykradałam im penisa i wrzucałam do kosza.

W ciągu dnia odkrywałam siebie po raz trzysta osiemdziesiąty szósty. Kokaina przestawała działać nagle i dreszcze dopadały mnie gwałtownie. To rzeczywistość biła mnie po całym ciele.

Potrafiłam być niewidzialna.

Znowu pada deszcz. Nie chcę, spadek ciśnienia atmosferycznego oznacza zadławienie. Nie takiej śmierci jestem przeznaczona. Jutro... jutro napiszę nowe strony. Już nic więcej nie mogę uczynić.

Kto i za co mógłby mnie przeprosić?

Udało mi się skończyć 18 lat. Byłam dorosła. Wobec prawa. Mogłam, na przykład, podpisać akt zawarcia małżeństwa, zostać skazana na karę śmierci za zbrodnię mniej lub bardziej prawdziwą, wyjechać za granicę. Państwo w swej dyskryminacji pozytywnej daje kobietom przywileje byłam zwolniona ze służby wojskowej. Jedno badanie psychiatryczne mniej.

Pamięć jako rozkład wegetatywny. Śmietnisko podświadomości. Jedyny wzór chemiczny, którego nigdy nie zapomnę brzmi:

C117H21N04 xHCL

Notatnik z adresami znajomych spaliłam.

Zła sława jak fale burzliwego oceanu zalewała miasto i ludzie z radością niegrzecznych dzieci wskazywali na moje ciało palcem. Poruszałam się w zwolnionym rytmie w parkach, wpadałam do fontanny, usypiałam w autobusach lub na klatkach bardzo przyzwoitych domów. Kiedy kokaina w tajemniczy sposób wycieka z krwi, czuję gwałtowne osłabienie w stopach i nie potrafię utrzymać równowagi. Przyciąganie ziemskie jest zbyt silne w tej części Kosmosu.

Ludzie przestali się pytać samych siebie, dlaczego tak się stało ze mną. Stanowiłam jedynie element zagrożenia krajobrazu zdrowego systemu społecznego. Wierzyli, że jestem rakowatym tworem, który należy wypalić, wyciąć, unicestwić całkowicie. Nie przewidywali, że wraz ze mną może zginąć cały organizm. Oczywiście, te porównania były czystą demagogią. Jakakolwiek forma zła musi zaistnieć, by oddzielała piękno. Mimo wszystko należałam do nich jako uzupełnienie całości. Pytanie o przyczynę jest nieprzyzwoite w najwyższym stopniu.

Połowa moich znajomych uprawia nielegalne stosunki seksualne po cichu, na delegacjach lub zakazanych prywatkach i są powszechnie szanowanymi obywatelami. Mój niekontrolowany seks, spowodowany pobudzeniem przez narkotyk, wyzwalał tajne pożądanie i odrazę.

Wierzę, że jest czas, który nigdy nie powinien zaistnieć. Moja psychosynteza przyjmowała kształt kuli ognistej, stawała się ogniem podniecającym mężczyzn, i rozbicie ram czasu, ciało jako podświadomość. Moje życie stało się niezmiennymi płaszczyznami ciągłości, których odpowiednie konfiguracje wskazywały na daną chwilę. Mogło to być dzieciństwo, lata nastoletnie, czas obecny a nawet czas przyszły. To nie miało znaczenia, to jakby obracanie kuli, jest styczna zawsze z powierzchnią na tej samej przestrzeni. Na przykład dzisiaj jest 7 września 1990 roku i to absolutnie nic nie oznacza.

Zrozumiałam, że nie istnieję, kiedy nagle, pewnej nocy, zwiędły wszystkie kwiaty w moim ogrodzie. Od tej pory czas jest letni, zdecydowanie upalny, przebiegający przez innych niczym zakłęcie. Kiedy je wypowiadam dotykając mężczyzny, wywołuję natychmiastową erekcję członka.

Poszerzone źrenice. Zaslaniają ciemne tęczęwki i dzięki nim dostrzegam zmienioną optykę rzeczywistości. Obraz jest lekko zamazany, jak przymglone porannym szronem okno. Moje oczy lepiej widzą w ciemnościach, to, co innym umyka mroczny świat duszy ludzkiej z podziemnej krainy świata przestępczego.

Czy ktoś na codzien dostrzega cichy płacz prostytutki, lęk złodzieja, sumienie mordercy? Tutaj gra się na jedną kartę twardą bezwzględnością na pokaz lub z przekonania, lub jak czynią prawdziwi złoczyńcy udają przyjaźń by zaatakować najmocniej, tych, których udało im się oszukać. Innej strony twarzy nie można odkryć, to byłby koniec prawa wstępu do piekieł.

Raz w tygodniu doznawałam poszerzenia świadomości z nową porcją kokainy. Tak długo byłam w stanie siedzieć na dnie depresji i rozdrażnienia, kiedy cały świat prowokował do śmiertelnego ataku. Wpływałam z kolejnym zastrzykiem w ramiona przeróżnych

mężczyzn, spragnionych miłosnego uniesienia lub niezwykłego wyuzdania. Moje seksualne biopole rozszerzało się do praktyk Corezza włącznie. Był jeden mężczyzna, którego erekcja trwała godzinami. Ciągła zmiana mężczyzn zaczęła mnie wyczerpywać, lecz musiałam mieć coraz więcej pieniędzy. Handlarz natychmiast odpowiada na zwiększone zapotrzebowanie podnosi cenę, bo wie, że i tak zapłacisz.

Sformalizowane instytucje przestały mnie poszukiwać w pewnym momencie. „Zero kontaktu” jak mawiają psychiatrzy „afekt blady połączony z mutyzmem”. To dobry rodzaj samoobrony, kiedy chcesz się odłączyć. Nie polecam nastolatkom, można zginąć.

Szef komisariatu z reguły wypuszczał mnie z aresztu po 6 godzinach, kiedy zaczynałam się rozplęwać. Miał niewielki wybór.

Wymyśliłam sobie. Tylko ta pieprzona śmierć jest realna. Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie pojawił się smród. Przestałam odczuwać potrzebę mycia się. A później przychodził napad sprzątania, prałam, wietrzyłam pościel, zmywałam zasuszoną spernę, usiłowałam ugotować sobie obiad. Świeże powietrze źle czuło się w moim mieszkaniu i ulatywało przez mury, które także były przeciwko mnie.

Nie pamiętam, co pisałam na poprzednich stronach. Zamieram jak jaszczurka przyłapana na otwartej przestrzeni. Wierzyłam, że danej wiosny uda mi się wyjechać w nieznane krainy, gdzie nikt nie będzie mnie pokazywał palcem lub przeklinał na niedzielnych kazaniach. Jak prosto jest wyrzec się drugiego, odejść.

Usiłowałam podpalić swój dom. Nie udało się.

Raz byłam w ciąży. Płód wyjątkowo silny, sam nie chciał odejść, mimo że byłam całkowicie wyczerpana, z anemią, z początkami obłądzenia. To dziwne, że ten ostatni miesiąc życia jest taki jasny i oczywisty, a więc płód rozwijał się prawidłowo i radośnie. Kto jest ojcem? Oto pytanie Hamlecie. Dziesięć tygodni wcześniej miałam osiemnastu partnerów i każdy z nich mógł zasiać zdradzieckie ziarno. Miliony złośliwych plemników zaatakowały komórkę jajową i oto rozpoczęło się życie, nikomu niepotrzebne. Gdzieś w głębokiej podświadomości przemknęła mi szaleńcza myśl, że dziecko byłoby moim ocaleniem, lecz błyskawicznie ją zabiłam.

Ginekolog od razu zapytał, czy chcę usunąć ciążę, jakby chodziło w wyrwanie zęba czy obcięcie paznokci. Kiwnęłam obojętnie głową. Siady po nakłuciu upoważniały go do ironii i bezczelnego zachowania. Podszczypując mnie na fotelu ginekologicznym, opuścił spodnie i odbył ze mną stosunek.

Miałam wtedy dużo pieniędzy, mogłam zapłacić za zabieg, część klientów stanowili Arabowie, którzy mieli zmyślne wymagania i solidnie bili. Sama operacja odbyła się w

szpitalu. Stała się dla mnie czymś ważnym, może najistotniejszym oto mordowałam własne dziecko. Nie ma gorszej zbrodni, potem można uczynić wszystko. Inne kobiety także przybyły pozbyć się problemu. Pociąg śmierci na sali operacyjnej podążał w przepaść, do słoja z formaliną lub do kosza na śmieci i dalej do krematorium szpitala.

W szpitalu cierpienie jest codziennością, jak oddychanie czy oddawanie stolca. Czy może być coś bardziej pospolitego od śmierci?

Jeszcze się mnie nie obawiano, jeszcze nikt nie słyszał o AIDS, była to cisza przed burzą. Sądzę, że dlatego się uratowałam przed zarażeniem wirusem HIV, ponieważ w pewnym momencie stałam się aseksualna, a przez to samotna. I nie używałam wspólnych igieł i strzykawek.

Słuchałam przez kilka dni opowieści kobiet kochanych i kochających, które chwilowy los zamienił w morderczynie, bez udziału współwinnego nieszczęścia.

Po zabiegu odczułam niespodziewany spokój, jakby dziecko miało wnieść w moje życie nowy rodzaj cierpienia czy samozagłady.

I zaczęło się. Zaczęłam sobie wyobrażać mego syna, znałam płęć mego dziecka. Zdecydowanie mordercą nie może być istota o tak wybujałej wyobraźni, tak namacalnej, rzutującej obrazu jak projektor filmowy. Wina za wszystkie wyskrobane dzieci na całym świecie osaczała mnie coraz mocniej.

Dawki kokainy rosły.

Miliardy poronionych sztucznie płodów wzywało mnie w sennych marach, zawodząc niczym nimfy z mitycznych rzek. Kara poprzez uduszenie sterylnymi szczypcami, rozerwanie drobnego ciała skalpelem.

Byłam nim, byłam moim nienarodzonym synkiem. Miałam przytwierdzone do nóg i rąk kule metalowe z łańcuchami, osadzone w dybach. Oddech dławiała oleista kula wpychana od strony odbytu. Wszystko odbywało się na centralnym placu miasta, w miejscu dawnych straceń czarownic i zbrodniarzy.

Miałam ulubiony hotel, gdzie mężczyźni czekali na mnie co wieczór, lubiący coolsex. Na świecie istnieją miliony mężczyzn, którzy jedynie pragną rozładować napięcie, gnani przez popędy w moje ramiona, skazani na prostytutki i domy publiczne przez marność natury, a raczej z niemożnością zapanowania nad nią. Są jak naładowane dynamitem tulejki podnieta, zapłon, wyładowanie, ulga. Traktowali mnie zawsze z wyższością, wręcz pogardliwie jako najgorszy gatunek dziwki.

Szpryca zrobi wszystko by zdobyć pieniądze na narkotyki.

Lubieżny mężczyzna kojarzył mi się z bezzębnym uśmiechem idioty, śliniący się i

atakujący. Czasami któryś z nich silił się na gest czułości albo ojcowskie upomnienia, lecz tylko po przeżyciu orgazmu.

Nigdy nie trafiłam na tę drugą połowę mężczyzn, którzy utrzymują się w monogamii. To dziwne, lecz teraz, kiedy nadchodzi kres, głód narkotyku jest mniej wyraźny, mniej zaborczy. Rozumiem ich, oni seks, ja kokainę. Proste.

Muszę przerwać pisanie. Muszę wcisnąć trochę leku w niewidzialne mięśnie. Mój bunt, jeżeli w ogóle to był bunt, miał charakter metafizyczny, był całkowitym zaprzeczeniem sensu istnienia.

Opad z zielonej chmurki. Stany trzeźwienia były przebudzeniem ze zbyt wielu snów. W odurzeniu zmieniający się koloryt świata oślepił i nawet najprostsze rzeczy zdawały się być piękne i olśniewające, na przykład tłusta plama na ubraniu wprowadzała mnie w zachwyt nad boskimi arkanami tajemnej sztuki. Albo szczyzny na klatce schodowej stawały się życiodajnym źródłem, które odradza wędrowca po trudach podróży. Już wtedy przeczuwałam u siebie talent malarski. Dusze ludzkie były piękne, a twarze łagodne, nawiedzane dobrocią aniołów. Szumy i trzaski nabrzmiewały niebiańskimi symfoniami. Oto ŻYCIE.

Popadałam na całe dni w całkowity bezruch, przeżywałam nieistniejące natchnienia. Kochałam wszystko i każdego człowieka.

Uzucie nienawiści zanika w momencie wpuszczenia kokainy do żyły, gdzieś tak w połowie pełnej strzykawki, lek osacza pewne ośrodki w mózgu i eliminuje wszelki lęk. Żołądek wypełnia się powietrzem niczym balon z dziecięcych zabaw, jest lekko, jest dobrze. Chwile bezpieczeństwa.

Ćpunny opiatowe zawsze się ze mnie naśmiewały. Twierdziły, że jedynie ich narkomania jest prawdziwa. Nie rozróżnia się głodu fizycznego, z czym się nie zgadzam. Są zmiany biochemiczne, które są nieodwracalne. Tak samo za jedną działkę się zabijam, zdradzam, oddaję ciało do rozprzedania na bazarach rozpusty.

Zaczęła się nieprzyjemna drżączka poszczególnych grup mięśni, przypominająca odmianę napadu padaczkowego. Upadałam na ulicach, przyklękałam niespodziewanie dla samej siebie, chwytałam za ramiona przechodniów, odtrącana, przeklinana. Oczy zalewał zimny lub gorący pot, mięśnie domagały się samodzielnego bytu.

Wytrzeszcz jest naturalną konsekwencją systematycznego zatruwania organizmu. Niekiedy gałki oczne były na samym końcu oczodołu, tj. na jego początku, podtrzymywane włóknami o kształcie wijących się węży. Chciałam się oślepić, lecz strach przed ciemnością powstrzymywał mnie od pchnięcia nożem.

Mózg jako przeżuta papka. Sama to wymyśliłam, czy gdzieś przeczytałam? W nocy

powtarzałam tabliczkę mnożenia albo czytałam na głos wiersze pisane przez poetów przeklętych, samobójców i przedwcześnie zmarłych. Postacie zza grobu same recytowały, szeptały, dotykały mojego ciała, onanizowały się.

Mysz płci męskiej, samotna w terrarium była skazana na ascezę.

Musiałam rozwikłać tajemnicę wszechrzeczy. W moim ogrodzie, w zapuszczonych truskawkach, zamieszkała ogromna ropucha i polowała na mnie językiem oblepionym muszkami. Czy można zgwałcić ropuchę?

Jeszcze trochę poczekaj. Ten miesiąc. Kiedy skończę moje wspomnienie, umrę spokojna. To jedno możesz mi załatwić, byłaś moją przyjaciółką tak wiele lat. Co zrobisz kiedy odejdziesz? No tak, jesteś wieczna i musisz zmieniać przyjaciół. Lecz sama podałaś mi pomysł, bym to opisała, więc wierzę, że dotrwam do końca. Nie bój się, nie będę oszukiwała. Napiszę codziennie tyle stron, ile mi nakazesz.

W sposób mistrzowski opanowałam sztukę przechodzenia od tego co realne, do tego, co niemożliwe, rozwekając w sobie do nieskończoności poczucie zła, świadomość zła, nieświadomość zła.

Nie ma odpuszczenia win. Tu na Ziemi.

Stałam się przezroczysta. Wypełzał ze mnie fragment ciała, choroby, poświęty złych myśli. Czy może istnieć na Ziemi tak szalona, jedyna, wierna i niezaprzeczalna miłość jaką ma ćpun do narkotyku? Miłość, która niesie w sobie wszystkie formy zniszczenia.

Dlaczego ludzie godzą się na udrczenie?

Był jeszcze znak, moment, kiedy mogłam dokonać przełomu. Odczułam gwałtowną potrzebę zmiany sytuacji. Nie chciałam być oplwaną przez wszystkich narkomanką. Musiałam na trzeźwo przetrzymać okres drżącej depresji, kiedy ciało pragnie się unicestwić ostatecznie w każdej formie myśli i działania.

Normalne życie. Czy ono mogłoby być dla mnie?

Przeraziłam się nagle własnego umierania w tak młodym wieku.

Pojawiło się uczucie wstydu. Zgłosiłam się do psychiatry, leczenie depresji kokainowej było teraz dla mnie najważniejsze. Był to mężczyzna w średnim wieku, z łysiną czołową, przyglądał mi się uważnie przez wiele minut i nie pojmował z czym do niego przychodzę. Kokaina w naszym kraju! 45 lat po wojnie. Owszem, przed wojną w świecie artystycznym to się zdarzało. Lecz teraz!?! Starłam się umniejszyć rozmiary mej porażki i nie opowiadałam mu o szczegółach zarabiania pieniędzy czy formach doznań seksualnych. „Objawy” choroby były zaznaczone skromnym opisem melancholii i brakiem sensu istnienia. Chociaż sens istnienia jest właściwie najistotniejszy.

Bardzo chciałam stamtąd uciec, lecz wizja wirującej otchłani, zamykającej się nad rozmiękczonego mózgiem, powstrzymywała naturalny odruch samoobrony. Nie zgadzałam się na pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Musiałam mieć szansę na odwrót, kiedy nie przetrzymam kuracji. Nagle psychiatra objawił mi się niczym demiurg, który ma mnie stworzyć od nowa, przywrócić rzeczywistości, przystosować do normalnego życia, którego tajniki miałam poznać wkrótce, albo jak nikt inny znałam wcześniej, co potęgowało chęć uśpienia.

W trzeźwym umyśle zaczęły pojawiać się pytania, którymi nigdy wcześniej bym się nie zajmowała: Czy psychiatra zdradza swoją żonę?

Czy mój ówczesny wygląd był dla niego odrażający? Czy było to możliwe, że mogłam współżyć z kilkoma mężczyznami jednocześnie?

Leki wykupiłam z poczuciem gwałtu na naturze ludzkiej i opadałam nieruchomo w samotność, w pustym mieszkaniu. Szczelnie zamknięte okna nie niosły powiewu nowego szaleństwa. Pierwszy raz poznawałam smak, istotę neuroleptyków i leków antydepresyjnych. Sen, bez koszmarów, bez tęsknoty, przychodził po kilku minutach. Pierwszej nocy poczułam, że kocham psychiatrę.

Moja zamrożona dusza powoli była ogrzewana.

Przeklęty jest wrzesień tego roku, skoki ciśnień, deszcze gwałtownie smagające wysuszoną ziemię. Nie mogę od trzech dni złapać oddechu. Rano wstaję, bezsenność od stuleci i wiem, że zasiądę do pisania. Moja ostatnia nadzieja na pogodzenie się ze światem, może ze sobą. Byłam idealnie wyizolowana, nikt mnie nie chciał, ani narkomani opiatowi, ani chorzy psychicznie w Klubie Pacjenta. Moje Taedium Vitae porażało, znosiło odruch litości, powodowało zwiększoną gotowość do samoobrony u tych, którzy nie przede mną mieli się bronić.

Psychiatra odwiedził moje Mroczne Królestwo Cieni. Wyszeptałam, że jestem brakującym ogniwem między człowiekiem a szatanem. Uśmiechnął się zwycięsko, w końcu miał dowód mojej winy. Otworzył okna, zawodowo opanował odruch wymiotny, namoczył mnie w wannie, zmienił cuchnącą pościel.

Zrzuciłam skórę węża, z uśmiechem witałam nowe dni. Dom przestał być wysypiskiem śmieci. Pieniądze systematycznie nadsyłane przez matkę wystarczały na skromne jedzenie. Nie odwiedzała mnie od śmierci ojca. Rozumiałam to i miałam żal, że nie kocha mnie ślepą, zaborczą miłością, która nie pozwala odejść.

Kim jest ten, który porzuca swe dziecko?

Kim był, kiedy go rodził?

Odnalazłam pluszowego misia, podarunek urodzinowy jeszcze trzeźwego ojca, który potrafił przytulać, nosił mnie na rękach. Roześmiana, chowałam się za drzwiami i czekałam aż mnie odnajdzie, podniesie wysoko i razem pofruniemy do zaczarowanej krainy bajek. Tylko niekiedy zadawał niespodziewany cios, gdy nie posprzątałam zabawek. Wspomnienia powracają i uderzają, wywołują dręczący płacz, zaciskają pięści w żelazne uchwyty.

Odnalazłam w sobie pierwsze oznaki umierania w świadomości. Miałam 19 lat i pierwsze smugi siwych włosów.

Namalowałam swój pierwszy obraz, talent tłumiony od dziecka, rozplątał się w imaginacjach duszy i iluzjach po narkotykach. Psychiatra był nim zachwycony: Taki talent! wykrzykiwał.

Transformacja uczuć i poszukiwanie idealnego mężczyzny. Delirium tysięcy alkoholików, mity pracźłowika i obsesje schizofreników.

Poczułam w sobie nową potęgę, mogłam zawładnąć światem. Niestety, psychiatra miał przedwczesny wytrysk i jego mit upadł. Brał mnie jedynie od tyłu, w ciemnościach. Jeżeli psychiatra ma świra, czy możliwa jest w ogóle normalność?

Zorganizowano mi pierwszą, niewielką wystawę obrazów. Środowisko artystyczne przyjęło mnie z dystansem, lecz bez niechęci. Nagłe źródło światła zawsze oślepia i na początku budzi niepokój. Byli całkowicie zdumieni moim sposobem przeżywania świata. Odmawiałam wszelkim propozycjom seksualnym, bez kokainy wystarczał mi jeden, stały partner. W galerii słyszałam co jakiś czas zjadliwy głos, szeptaający za moimi plecami dajcie jej kokainy, a zobaczycie kim naprawdę jest.

Psychiatra towarzyszył mi jeszcze przez pewien czas w spotkaniach twórczych, lecz nasz związek rozpadał się. Omijałam zdecydowanie wszystkich dziennikarzy, którzy stale węszyli za sensacją.

Następował nowy kryzys. Pod powiekami pojawiały się iluzyjne obrazy, które natychmiast chciałam malować. Rzeczywistość ponownie zacierała się, wtapiałam się w obrazy jako nowa forma czy chłapnięcie farbą. Tłum domagał się nowych prac, podniecony moją wizją świata. Obrazy zaczęły być kupowane za granicą do małych galerii, gdzie spotykają się znawcy. Oznaczało to przytłaczającą sławę. Rozpętała się wojna gazetowa na temat mego talentu, a raczej mej moralności. Oczywiście, dziennikarze w końcu dotarli do kartotek policyjnych, a może zdradził mnie rozżalony psychiatra.

Kara śmierci wydana przez społeczeństwo jest zbrodnią doskonałą, prowadzi do samobójstwa ofiary i nie ma winnych. Dom to także społeczeństwo, według praw logiki oczywiście.

Usiłowałam się bronić, lecz kto oskarży wszystkich. Unikałam spotkań, cicho skradałam się ulicami miasta, niekiedy atakowana przez szlachetne kobiety, które współżyją z mężczyznami dwa razy do roku.

Mimo wszystko była jeszcze szansa na ratunek. Na zachodzie koneserzy poszukiwali moich obrazów i mnie samej, by porozmawiać, poczuć aurę sztuki, która wtedy mnie otaczała.

Wykazywano tam zrozumienie dla czasu przeszłego. Siła moja była podwójna, walczyłam z nałogiem i twórczą izolacją.

Potrzebowałam czasu by o mnie zapomniano, by zajęto się nową wojną, czy przewrotem politycznym. Tłum zawsze szuka nowych ofiar, stare są nudne i nie emocjonują. Pieniądze ze sprzedaży obrazów pozwalały mi na życie w komforcie i swobodne podróżowanie. I czas niepoganiany, niezmacony sprawami do załatwienia płynął inaczej, dostojniej, przeżywany dosłownie, z dziwnym namaszczeniem.

Ci, którzy pozostali w mieście, nadal mnie zjadali, przeżuwali i wypluwali z objawami stałej niestrawności. W koszmarach sennych widziałam jak mnie rozrywają na części, opalają włosy, wrywają trzewia, zgniatają w mechanicznej prasie.

Coś gnało mnie do miasta z powrotem. Może w innym miejscu na świecie nie potrafiłam cierpieć? Nie wiem.

Myśli o samobójstwie działały na mnie zawsze jak pieczytka niespełnione w fantazjach. Powróciłam do miasta otoczonego wysypiskami śmieci, zaczęło mi brakować pieniędzy i nie było chętnych do otwierania pokoi hotelowych w niskim ukłonie i butelek szampana. Myślałam o szaleństwie Wirginii Wolf. Będąc trzeźwą nadrabiałam zaległe lektury, lubiłam czytać, zatapiając się w życie na zapisanych stronach. Wirginia pomiędzy pisaniem książek, które powstawały podczas ciszy morskiej, w czasie burzy wykrzykiwała swoją rozpacz, zamykana w pokoju sypialnym. Byłam jedną z jej fal, której nigdy nie spotkała. Jak mnie oskarżano, raniono, opluwano, dopóki któreś z dzieci porządnych ludzi nie popadło w narkomanie. A wtedy oczy ich gasły z pożaru nienawiści, szpony tępiły się, ślina zamierała. I właśnie wtedy pragnęli mnie poznać, zapytać o istotę choroby i sposób ratowania dziecka. Nikt, ale to NIKT nie chciał usłyszeć prawdy. Nie mogłam im udzielić żadnej rady. Byłam na początku grzęzawiska, jeszcze tego nieświadoma, doskonale oszukująca siebie, z zaprzeczeniem w sercu.

Po śmierci narkomana głupota wędruje po Mieście, z obojętnością przygląda się innym skazanym. Każdy ukrywa jakiś nałóg seks, pieniądze, alkohol, władzę, sadyzm. Jedynie wspólne palenie papierosów jest przyjmowane ze zrozumieniem i nikt nie przeklina

chorych na raka płuc czy krtani, współczuje im, odwiedza w szpitalu i chodzi na pogrzeby z mową pośmiertną o zasługach. Ten gatunek samobójców jest zawsze uświęcany. Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć.

Listy od matki. Suche fakty, pozdrowienia, gratulacje. Żadnej obietnicy spotkania, żadnej czułości.

Problem nieporuszany, przemilczany, nie istnieje.

Ludzkość nadal domagała się, bym uczestniczyła w szaleństwie ich życia. Byli agresywni, zaborczy.

Poczułam nową MOC, powstała nowa generacja obrazów, która samą mnie zadziwiła. Utrwalić obraz statycznie tj. na płótnie, by był dynamiczny, tak jak żył pełnią życia w mózgu. Wszędzie bałagan, bałagan, którego nie zdążę już uporządkować. Nigdy tego nie dokonałam.

Zrywałam się z krótkiego snu w środku nocy i wołałam: Nie ma, nie ma Basikoki, nie istnieje, odeszła. Jestem wolna, wolna, daleka, bez korzeni, bez wysp, bez zranionych skrzydeł, obnażona jedynie w swej sztuce.

Nie byłam wolna.

Praca, mordercze tempo, które sobie narzuciłam z wiarą, że stanę przed NIMI bez poczucia zagłady, spowodowały załamanie fizyczne. Uparcie przygotowywałam się do następnej wystawy. Świnka morska to było coś, to była żywa istota na wymarłym terenie. Przemawiałam do niej godzinami i wtulała się we mnie z ufnością, dreptała powoli wśród pędzli i farb, malując futerko odcieniami obrazów. Świnia była zupełnie przyjaźnie nastawiona do świata, przed snem w ciągu dnia nieruchomiała na chwilę, wsłuchana w muzykę świtu. Świat świni jest prosty, wydalanie i wchłanianie pokarmów, odrobina czułości. Schronienie na moich kolanach podczas burzy.

Nowy kochanek miał artystyczną duszę i wielkiego kutasa. Wielki Mag, kiedyś psycholog, mawiał w chwilach słabości, że w tym kraju trzeba być albo wielkim terapeutą, albo wielkim oszustem, by nie zginąć z głodu. Zajmował się drobną wytwórczością, nie wiedziałam jakiego rodzaju lecz podejrzewam, że płodził dzieci za opłatą. Przyszedł na moją wystawę wiedziony instynktem samca i od razu uległam jego czułościom wypowiedzianych sądów i napiętym rozporkiem. Jego trochę niezdarne a jednocześnie celowe ruchy dawały mi złudne poczucie bezpieczeństwa.

Przestały mnie przerażać własne obrazy. Odnalazłam swój czas w półcieniach, odbiciu na płótnach, w plamie. Ból, który otwiera się po to, by gwałtownie zgasnąć.

Zaczęłam wyobrażać sobie dom. Moja twarz zmieniała koloryt, promieniowała łagodnością. Zniknęła dawna szarość cery. Każdej nocy stawałam się kochaną kobietą. Był to

czas subtelnej erotyki, tworzenia sztuki zbliżenia z ukochanym człowiekiem. Był to jedyny realny czas.

Niebezpieczne noce powoli wracały na swoje miejsce. Sumienie, czym ono jest. W lustrach były inne twarze, nie nasze. Kokaina powracała jak stara przyjaciółka. Obrazy sprzedawały się jak złote jajka. Nie pamiętam, od którego momentu zaczęłam przeliczać pieniądze na dawki koki. Robiłam to automatycznie przy każdym rachunku. Myśl o narkotyku krąży jak elektron wokół jądra. Rozbicie atomu jest możliwe. To nowa śmierć. Ile razy trzeba upaść, by podnieść się ostatecznie? pytałam Boga z każdym szarpnięciem tęsknoty za jednym strzałem.

Czy istnieje naprawdę realny ratunek z narkomanii? Tamtej Barbarze się udało, ale czy do końca? Rzecz niemożliwa, która się spełnia, prawie na granicy cudu. Realne nieprawdopodobieństwo!!!

Dzisiaj czuję się trochę lepiej. Bóle się zmniejszyły, staram się nie przyglądać ciału. Kiedy siebie nie widzę, mam złudzenie, że jeszcze coś pozostało.

Zbliża się połowa września. Skreślone w kalendarzu dni udręki, ostatnie spojrzenia w przeszłość tak zamazaną. Już od dawna nie wychodzę z domu, prawdopodobnie nie potrafię chodzić, zanik mięśni jest całkowity. Świat tak doskonale obchodzi się beze mnie. Narkotyki dostarcza mi stary dystrybutor, może z litości, a może śmierć mu nakazała.

Nie sądzę bym potrafiła wytrzeźwieć na ostatnią chwilę, zmiany są tak wielkie, że nawet bez jednego zastrzyku o stałej porze organizm sam się przestawia na inne funkcjonowanie, tę znajomą falę całkowitego zaprzeczenia bytu.

Śmierć mnie na koniec nie zawiodła. Obdarowała mnie świadomością wbrew mej woli. Cały miesiąc powrotu do wspomnień.

Los wydał mi się wstrętny i zawiniony. Podczas jednej nocy znalazłam na przedramieniu kochanka nakłucia. Był heroinistą i grał wobec mnie doskonale rolę kamuflażu. Spokój, który mnie zwiódł, który fascynował, który zdawał się być wyciszeniem dojrzałego mężczyzny, był jedynie sennym otepieniem ćpuna.

Poranne krople rosy rozsypują się tak szybko.

Bóg siedzi na słońcu i przygląda się ludziom. Jednych obdarza życiodajnym ciepłem, innych opala do granicy bólu.

Poranne modlitwy o uleczenie nie miały sensu. Nie chciałam tego. Byłam wypaloną planetą, której Bóg nie obdarzył życiem. Nie, to nie było tak. Nie chciałam skorzystać z innej możliwości wyboru. Narkomania była sposobem na życie, tj. sposobem na śmierć. Kochanek egzystował na codziennych dawkach heroiny. Jego śliczny penis stał się pomarszczonym

członkiem starca. Zmuszał mnie do zarabiania pieniędzy na jego towar, bił mnie po twarzy wychudzonymi dłońmi. Jeszcze trochę malowałam. Obrazy drażniły tematyką ciała skręcone na głodzie, porażone nagłą śmiercią, szły jak woda. Doprawdy ilu ludzi pragnie się umartwiać.

Doniosłam na kochanka policji i zabrano go w nieznane miejsce. Nie byłam w stanie przetrzymać podwójnej rozpaczy.

Mijanie. Omijanie. Niewidzialny przedmiot, szyba wystawowa, w której odbijany świat jest iluzją.

Zaczęłam zastygać. W zaskakujących pozycjach, w woskowym stężeniu mięśni. Heroina. Była pozostałością po nim, nabożne wstrzykiwanie do fragmentu żyły. Heroina dawała uspokojenie po szale kokainowym. Obojętność!!! Labirynt zanikał, można było odnaleźć drogę na skwer lub do sklepu po pieczywo.

Nie byłam jeszcze w metalowej bańce, z której powoli zabierają powietrze. Jestem teraz, a czas jest ściśle określony. Kiedy budzę się w nocy z poczuciem zaniku palców u dłoni, wiem, że śmierć delikatnie je rozmasuje, bym mogła pisać dalej. Ona musi wykonywać polecenia Boga.

Nocami ściagała mnie tajna organizacja, która miała na mnie wykonać wyrok śmierci na schodach hotelowych, lecz zmieniałam postać dzięki zaklęciom i inni ginęli zamiast mnie, zakłuwani długimi nożami.

Wraz z heroiną wszczepiłam sobie kiłę. Przy opiatach traci się zupełnie poczucie kontroli. Ktoś podał mi towar w zarażonej krwią strzykawce. Umieszczono mnie w szpitalu zakaźnym i moja wyobraźnia znęcała się nade mną przez cały czas. Wiedziałam jak po lesie rozpada się ciało, powoli, jak trędowatemu, kiedy żadne dawki antybiotyków nie działają narkotyki znacznie obniżają naturalną odporność organizmu. W mękach na jawie odpadał mi palec prawej stopy lub dłoni.

Miałam tajne wieści o losach kochanka. Widywano go WSZĘDZIE, śpiącego lub dającego się gwałcić pedałem. Czasami policja zamykała go w areszcie by nie zamarzł. Epizod heroinowy przeminął wraz z kiłą. Odmówiłam dalszego leczenia w Ośrodku Rehabilitacji Dla Narkomanów, i wróciłam do domu. Ostatni raz usiłowałam pomyśleć. Ludzie wokół zdają się być niezbyt zaznajomieni z problemami ćpuna, wypowiadają obce, zasłyszane sądy, posługują się płytkimi cytatami.

Mogłam być struną, na której rozegrano wiele akordów życia. Wybrałam inną drogę. I nikt mnie nie przekona, że nie można dokonać zmiany.

Zastanawiałam się nad cudownym ratunkiem.

Miłość? Śmierć? Kuracja psychoanalityczna? Twórczość? Wszystko? Ja, tylko ja?
Czy mógł porażony raz ideą narkotyku jest w stanie się wyzwolić?

Kochanek zaginął, nie było go w polu rażenia, ani w Miejskim Zakładzie Psychiatrycznym czy w więzieniu. Być może oddał życie za jedną porcję heroiny.

Świnka morska zdechła śmiercią głodową.

Wydawało mi się, że jestem zamknięta w ogromnym, czerwonym jajku, które powoli zaczyna pękać, lecz zamiast dłoni, wystają rachityczne ptasie kończyny, bezładnie zwisające nad resztą skorupy.

Krażę po orbicie swego szaleństwa. Co mogę więcej uczynić? Wyzdrowieć? Za późno. A przedtem, przedtem... nie było czasu na miłość. NIE BYŁO MIŁOŚCI.

Kiedy piszę to wspomnienie, które będzie jedynym śladem po mnie boleśnie powraca wizja moich obrazów. Tamten rodzaj tworzenia. Ekstaza bytu. Prawda, są i one, porzrucane po galeriach świata, osamotnione. Kiedy malowałam obraz, nic się nie liczyło, byłam sztuką, twórcą, aktem stworzenia, by na koniec pochylić się nad wizją.

Wierzę, że śmierć jest wysłannikiem Najwyższego.

Tęsknota za kokainą porывała mnie w ramiona, kołysała, przypominała smak euforii, przywoływała obrazy obsceniczne. Mała, mała dawka koki.

Widziałam jak ciężarówka rozjechała kochanka. Był martwy jak rozwalony kot. Zapragnęłam poczuć jego dotyk, opuchnięte ramiona, lecz w końcu zabrano ciało do kostnicy miejskiej i pochowano go z tabliczką N/N.

Dotyk, który był złudzeniem.

Nie pamiętam jego imienia. Nie pamiętam imienia żadnego Mężczyzny.

Być może był to koniec mego człowieczeństwa. Miłość, pochowana w mrokach duszy ludzkiej, nie wzniecał jej żaden powiew, nie było wzruszenia czy drgnięcia przyspieszonego pulsu.

Zgoda na upadek? Na tajemnicę? Na pokiereszowaną twarz? Gnijące ciało? Ponownie miałam w sobie kokainę. Dostawca spokojnie zrobił mi zastrzyk, poklepał po pośladkach, przytulił.

Kto wyrzeka się falowania w przestworzach, w zaczarowanej krainie, gdzie kolory mienia się tysiącami odcieni, a ciało staje się wiecznym orgazmem? Powróciłam do dawnego porządku rzeczy jako ćpunka i prostytutka, z ustalonym rytmem cen za wszystko, co można kupić i sprzedać.

Czy istnieje realna tęsknota za śmiercią jak za ukochanym, za dzieckiem, za życiem, wędrowaniem lub wdychaniem poranku?

Zaczęły się pojawiać stany krytyczne. Chodziłam do znajomego lekarza, kiedy miałam grypę, bóle wątroby czy nerek, by upewnić się, że jeszcze nie umarłam. Lekarz zawsze powoli mnie badał, osłuchiwał nierówno pracujące serce, dotykał ciepłą dłonią nabrzmiąłych trzewi, przepisywał leki i uśmiechał się do mnie. Nie oskarżał, nie ostrzegał. Dopiero dyskretne drżenie jego dłoni uświadomiło mi jego demona. Alkohol.

Dawki koki nie były duże lecz codzienne, utrzymywały mnie na pograniczu euforii i zadowolenia. Jeden mężczyzna na jedną noc mogłam sobie wówczas na to pozwolić. W dzień popadałam w senność.

Otoczenie błyskawicznie zauważyło mój powrót na szlak. Miejsca dla zła nigdy nie brakuje, początkowo przyjaźnie łaskocze schlebia, doradza, podszeptuje, kusi, by w odpowiednim momencie zaatakować i zażądać srogiej zapłaty za wejście w podziemny świat. Mój czas był odliczany na gigantycznym zegarze, poruszany palcami szatana. Odliczane dni sumowały się w lata, chwile po narkotykach w całą przepaść. Życie zastawione w sidła przez największych kłusowników planety.

ODSŁONA TRZECIA: ZAPAŚĆ

Deszcze, deszcze. Całe życie padało. Kiedyś ukaże się słońce, wrześnie, ciche i ciepłe. Tresura własnej śmierci. Oczywiście, rzecz to absurdalna i z gruntu niemożliwa, lecz porywająca na każdym zakręcie losu.

Wokół domu powstawały tajemnicze ścieżki, zasypane wrogimi twarzami, wysypiska przeróżnych nieczystości, odpady ludzkich odchodów, nie było przejścia, nie było wejścia czy wyjścia. Odpychające dłonie właczały się do okien, do drzwi, popychały, obnażały. Mój dom stał się meliną. Topiel jest również formą bytu. Tutaj spotykali się wyznawcy zła wszelkiej maści, umierający, w ostatnim stadium narkomanii czy syfilisa. Nie czułam się ich przewodnikiem, sama zatopiona we własnym świetle, udzielałam im jedynie schronienia przed policją, zimnym deszczem czy upalnym słońcem, szpitalami psychiatrycznymi czy płaczącymi dziećmi. Tutaj rycerze samotności i występku polowali na grzechy innych. Rankiem, kiedy wszyscy znikali jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wychodziłam do ogrodu. Kwiaty milczały zastraszone nocnymi szeptami obłędu. Stary kruk uważnie wpatrywał się w moje ciało.

Nie modliłam się nigdy do Boga. Czasami z Nim rozmawiałam. Nie było o co, czy o kogo. Wierzę, że istnieje jakaś MOC, która zesłała mi śmierć zamiast anioła stróża. Ogród stale był zarzucany brudnymi strzykawkami, zużytymi prezerwatywami, butelkami po alkoholu i odczynnikach do produkcji heroiny, wymiocinami lub ciałami. Każdy kiedyś przechodzi przez wzgórze, na którym rośnie ostrokrzew. Dzisiaj gorzej mi się pisze. Ten ostatni przebłysk nadziei, próba oszustwa. Nic nie da się powrócić. Kiedy kokaina przestaje działać, a jeszcze nie możesz wstrzyknąć sobie kolejnej dawki, zawsze można wymoczyć stopy. Ba, trzeba je mieć! Zdarzało mi się śnić wojnę, której nigdy nie przeżyłam mam na myśli agresję jednego państwa do drugiego, obozy koncentracyjne, komory gazowe i cyklon B, krematoria, bomby, naloty, przesłuchania przypalanego ciała, wpuszczanie szczurów do pochwy. Tym nieustannie karmiono mnie w szkole i kazano pamiętać. Po przebudzeniu musiałam żyć dalej. Gówno, które śmierdzi tak samo z każdej strony. Znikąd świeżego powiewu, wszędzie spalona ziemia, masowe mordy, unicestwienia.

W Boliwii albo w Peru spokojnie, bez żadnego zagrożenia z zewnątrz, można przeżuwać liście koka Erythoxylin, uczestnicząc w grupowych tańcach i miłosnych uniesieniach. Wtedy na niebie pojawia się napis METYLOBENZOILEKOGONINA. Nabożeństwo trwa. Wędrując ulicami Limy lub La Paz, wyciągałam ramiona jak kolorowy motyl i zbierałam na łące nektar radości. Później na strzelistych zboczach Kordylierów było

wiele nieznanych, latających stworzeń, które delikatnie łaskocząc, obsiadywały całe ciało, pieściły skrzydłami i odnóżami, szumiały w uszach, oślepiały odbitym światłem. Jeden z nich zwrócił moją szczególną uwagę, było to połączenie muchy i ryby ze stonogą. Miał złote skrzydełka i pysk szczupaka. Wędrował po moich nogach coraz szybciej, wsysał się w ubranie i szczekał zębami. Wystraszyłam się. Stwór zjadł część koszulki i dobrał się do skóry. Krzyk zrzucił mnie w dół, spadałam z wysokości 6768 metrów w dół ze stworem wyjadającym mięśnie brzucha. Próbowałam się uwolnić, zdierałam z siebie skórę, mięśnie, dotarłam do kości. Nagle na polanie pojawiła się Dobra Wróżka, która nektarem, zebrany z płaczu żałobników, ulepiła mnie od nowa i zamknęła stwora w metalowym pudełku. Robaczek oszalał. Kokainę zażywałam codziennie. Nie byłam w stanie przetrzymać spadających na mnie sztormowych skał, kiedy wysycenie kokainą zmniejszało się i świadomość docierała do jądra mego istnienia.

Malowałam na ścianach bezsensowne (?) wzory, niemożliwe do odczytania wprost. Tylko nowa porcja koki dawała mi możliwość scalenia obrazu. Codzienne odliczanie narkotyku w kroplomierzu jak krople życia, bezcenne sekundy, które przemijały w czasie bez ocalenia.

Pieniądze!!! Coraz więcej pieniędzy. Kurczyły się jak przekłuty balon. Nowe ceny, nowe żądania erotyczne. Moja cena zaczęła spadać. Frajerów odstraszał wygląd i ślady po wkluciacz, rozpaczliwy uśmiech, brak makijażu. Już wtedy nie potrafiłam pomalować twarzy. Byli i tacy, których właśnie to podniecało, mój upadek, lubowali się w przyglądaniu agonii. Miałam kokę z przemytu, dobry towar, który można używać w postaci tabaczkki, podleczyć stany zapalne żył. Mój nos zaczął przypominać samotnie wędrujący kapeć, rozdeptywany przez tłumy, z czerwonymi krostami.

Musiałam pieprzyć się w ciemnym pokoju. Czy istnieje inny rodzaj mężczyzn, którzy spotykając się z kobietą nie myślą o seksie? Na szczęście byli właśnie tacy, inaczej nie mogłabym zarabiać na narkotyki. Pieniądze i dupa są ze sobą symbiotycznie powiązane. Mój masażysta rozbijał drżące mięśnie, usiłował im nadać elastyczność. Była to praca nad zerwanymi strunami rozbitego instrumentu, który brzmi fałszywie. Dni mijały do siebie podobne, wyznaczone rytmem przymusowej kopulacji i ilością pobranego narkotyku. Świat realny stoczył się poniżej stanu świadomości mego upadku. Nie wiedziałam, czy grzeszę i jak bardzo, niczego nie pragnęłam, nie krzywdziłam nikogo (taką mam nadzieję). Twarze klientów przemijały jak krajobrazy w szybko jadącym pociągu. Może wszystko jest daleką podróżą z nieustannie mijanymi ważnymi sprawami, które nigdy nie doczekają się rozwiązania.

Zwykła śmierć jest cudownym zaskoczeniem. A obrzydliwa śmierć épuna, czym jest? Wyczekiwaniem? Ulgą dla otoczenia? Potwierdzeniem teorii dwoistości świata? Umiałam pytać. Zawsze miałam potrzebę zadawania pytań. Może to było we mnie tą cząstką człowieczeństwa, która nigdy nie zanika. Śmierć każdego wieczoru przychodzi do mnie i sprawdza zapisane strony. Widzę, że jest zadowolona z mojej pracy. Nie mogę tego opóźnić, wiem o tym, lecz postanowiłam przyspieszyć pisanie. Dwa razy więcej stron dziennie, plus weekendy. Może to jedyna rzecz w życiu, która mi się uda.

Od dawna byłam stracona, znałam swego kata i oprawcę, imię tego, który wydał wyrok. Moje imię i ich imiona. Trójca. Poddałam się, lecz czy miałam szansę na obronę? Jest jeszcze jeden powód, dla którego pragnę skończyć książkę szybciej stan świadomości, w którym muszę teraz żyć, wspomnienia, pobudzone obrazy, postacie, stracone możliwości. Takie okrucieństwo przeżywa chyba człowiek w celi śmierci. Miałam kontakty z podstarzałymi lesbijkami, których nikt już nie chciał, mimo że nadal były zdolne do wielkich namiętności. Przypominały opiekuńcze duchy, trochę złośliwe, karmiły mnie, kiedy nie miałam pieniędzy. Kapały i podniecały się drobnymi pieszczotami. Byłam już aseksualna. Byłam wyzwolona. Pozostała mi kokaina i śmierć; dwa współbrzmiające nałogi.

One dawały mi pewien rodzaj spokoju, bezpiecznego przemijania, tuliły do snu, kołysały śmierć. Złościła się na nie, pobrzękiwała nerwowo kośćmi. Nie wiem o co jej chodziło. Policja wzywała mnie na przesłuchania. Staralam się być dla nich uprzejma. Mieli szybkie, mocne pięści i agresywne głosy. Byłam milcząca, nie obrażałam się, nie zanieczyszczałam pokoju. Sprawa była delikatnej natury, nadal znano mnie jako wybitną malarzkę, nie mogłam ot tak sobie zostać zabita podczas śledztwa, mimo że wszyscy sądzili, że moja śmierć to najlepsze rozwiązanie dla miasta.

Rozwiązanie. Nie teraz. Nie w tej sytuacji. Płód już się wykształcił. Odkąd piszę, pomimo udręki o powiększoną świadomość, cała rzeczywistość staje się dużo lżejsza, faluje, jakby ją można było niczym plastelinę ulepić w zupełnie inny kształt. Przedmioty stają się wiotkie, może ponownie zastygają w nowej konfiguracji. Nie mam nawet łóżka. Śmierć wraz z nakazem pisania, przydzwigała stolik i krzesło. Mogła też mi donieść łóżko.

Czy widziałeś kiedyś czytelniku śmierć zajmującą się takimi sprawami? Sądzę, że na koniec przychodzi Anioł, który wybawia z ciała. Nie wierzę w piekło, czyściec i takie tam duperele. To wszystko jest tutaj, tam od razu spotykamy się z NIM. Całą aktywność przeniosłam w krainę snu. Otaczały mnie bezładne myśli, które w natłoku tworzyły bezsensowne zdania. Wołałam: Jestem bezbrzeżną pustynią łądactwa łądowego. Albo: Nie ma śmierci dla komików. Dokonałam genialnego odkrycia, że sama jestem nieskończonością

ograniczoną. Na mojej planecie nie było czasu i przestrzeni. Nawet stosunki seksualne odbywały się w czasie prędkości kosmicznych. Przestałam odczuwać eskalację podniecenia i orgazmu. Równie dobrze mogłoby to być zwierzę, kloaka, ptak czy przepaść. Wydawało mi się, że świat jest skonstruowany na odmianach zbrodni, niczym kula na ramionach Atlasa, który rozkołysany popędami, nie potrafi się zahamować.

W czasie najgorszego upokorzenia, gdzieś zakopane, tliły się ostrzegawczym światłem marzenia. Zawsze chciałam spotkać się z Przyjacielem nad rzeką lub brzegiem morza, w miłosnym milczeniu, odpoczywając pod rozłożystą topolą lub na rozgrzanym piasku. Pilibyśmy wino, a w drodze powrotnej malarz namalowałby niespodziewanie nasz portret. Różowa gąsienica pełzała wzdłuż linii okna pokoju, połyskiwała zielonymi ślepiami i czarnymi szczypcami wbijała się w drewno podłogi. Wychodzenie z łóżka było Absolutną Stratą Czasu. Apatyczne meduzy wysychające na suficie, odpadały co kilka minut, rozsypywały się na twarzy. Spluwałam na nie, by odeszły. Nikt nie przewidział granicy mojej odporności. Co ty na to, Panie Artaud? Czy twój teatr okrucieństwa byłby w stanie mnie przestraszyć? Czyż świat wokół nie jest pustym miastem z melancholijnymi ulicami, po których w rytmie marsza poruszają się ludzkie manekiny? Czy mój umysł stał się zmieniającym inscenizację collagem?

Rano, kiedy słońce rozgrzewa czule zamrożone krople rosy, cena rośnie, urasta do bezcennej, kiedy kat szykuje się do drogi, by wypłacić się jednym strzałem w żyłę, jedną porcją wódki, czy pchnięciem sztyletu w plecy. W mroku wstrzymuję oddech, by ustrzec świat od wybuchu nowej bomby, którą noszę w sobie. Nie sądzę, że jest to możliwe bym oszukała śmierć. Nie wiedziałam, że pisanie wymaga także siły fizycznej.

Niepokój istnienia powracał. Niepokój pustki, niemocy, zagubienia. To dziwne, przecież nie trzeźwiałam. Bywało i tak, że w szalonej pomyłce jakaś tajemnicza dłoń zrobiła mi zastrzyk z heroiny, a wtedy popadałam w bezład, mięśnie przeciskały się pomiędzy arteriami żył albo zastygały w przeczuciu nieuchronnego zagrożenia, niczym błyskawicznie działająca narkoza. Tamta Barbara brała tylko piąty. Tak. Więcej nie pamiętam. Byłam jak przykuta do łodzi dryfującej po oceanie, odbijającej się o skaliste nabrzeża, bez wiosła, bez rąk. Ach, żeby w końcu przyszedł jeden duży pająk i pozjadał wszystkie małe pająki. Trzeba otworzyć drzwi do ogrodu. Nie wiedziałam jak mijają godziny, dni, pory roku. Czas zatrzymał się albo oszalał w niewiadomym kierunku. Wszystko było przeliczane na dawki koki, miłosne chwile, puste strzykawki, zbędne nakładanie butów. Kupę zawsze można zrobić obok łóżka albo w majtki. Telefony, telefony. Dopiero po wzrastających porcjach narkotyku potrafiłam odliczyć czasokres, który upływa pomiędzy jednym a drugim zaistnieniem ukłucia.

To impulsy czasowe są wysyłane do mózgu poprzez żyły, a raczej zawartą w nich truciznę. Rok 1990? Nie rozśmieszajcie mnie.

Lodowatość lub zlewające poty. Jakiś olbrzym potrząsa mnie za lewe ucho. Niedługo skończę pisanie. A już myślałam, że umrę spokojnie zadławiona rzygowiną. A tu mi jeszcze grają dobrą muzykę.

JA jako nielogiczna postać. Śmierć popija dyskretnie wódkę. Czasami i ona marznie. Zagrożenie narasta. Kiedyś potrafiłam się doskonale oszukiwać, teraz i tzw. mechanizmy obronne (patrz psychologia) zawiodły całkowicie. Sądzę, że uda mi się nie popaść w stan paniki.

Świat się zmienił, pomalowany ręką innego szaleńca, który dobierał barwy według jemu tylko znanej metody. W tramwaju twarze pasażerów zmieniały się w szczurze pyski lub żabie oczy.

Ktoś pomalował mnie na niebiesko, błękitno i wyglądałam jak bezchmurne niebo w wiosenny poranek. Żartowniś. Dał mi fioletowe oczy i czarne zęby. Złożyłam protest u policjanta kierującego ruchem na głównym skrzyżowaniu miasta. Wypisał mi mandat za zakłócanie porządku publicznego na świeżym, kobiecym łożysku. Przypominał kotlet schabowy z dzieciństwa; ojciec piekł mi takie, świeżutkie, prosto z patelni. Uwaga, uwaga, teren skażony nieznaną chorobą duszy. Nieznane mocarstwa wysłały na mój ogród broń biologiczną pod postacią mikroskopijnych robaczek, połyskujących stalowymi pancerzami, owadami o trójwymiarowych przestrzeniach między oczami oraz niewidzialnymi insektami, które opadają na ciało milionami natrętnych nówek. To spisek przeciwko kokainie. Walczyłam dzielnie, strzepywałam z siebie wroga, drapałam się, czochrałam tj. pocierałam plecami klamkę, tarzałam w kałużach. Nożem wydłubywałam najsilniejsze jednostki z powłok skóry, które składały jaja. Te, które zawładnęły pochwą, były nieuchwytnie. Usiłowałam przedostać się do lekarza, lecz nagle robaczki przeistoczyły się w krasnoludki i uciekły do mysich dziur. Cały świat skarłowaciał, a może to ja królowałam w krainie liliputów. Już się na nią tak nie wpięprzam. Wiem, że przyniesie mi całkowity spokój. Dosyć, wystarczy, wystarczy grzebania się w obłędzie. Nowe wylęgi skaczących poziomo pcheł. Gdzie się to wszystko tworzyło? Jak pojemny jest mózg człowieka. Podobno psy chorują na schizofrenię. Z wnętrza ściany padł rozkaz zniszczyć ogród! Dermatophagoides pteronyssimus wyzwała pył, który dławi. Odpadła mi przegroda nosa i wdychałam świat nowym kanałem.

Zapomniałam tabliczki mnożenia. Koniec z numerami. Nie dostrzegam pojedynczych liter. Dopiero po kilku sekundach pojawia się słowo, a za nim zdanie. No cóż, nie mam połowy mózgu. Doprawdy zadano mi nową torturę każąc pisać to wspomnienie.

Wierzyłam, że MOC nadal jest ze mną; zła czy dobra, istniała. Inaczej nie można było by tego przeżyć.

Psychiatrzy. Stanowili ważny punkt w pewnym okresie mego życia, chyba w dzieciństwie. Testowano mnie, obserwowano, podawano leki, które są wymysłem szatana albo Boga. Ich bezradność, moje pragnienie bliskości o którym nie miałam prawa im powiedzieć. Wywoływali we mnie poczucie winy, że jestem taka, czy taka lub inna. Luki pamięciowe. Niektóre pojęcia zostały wymazane, jakby wycięte nożyczkami. Niczego sobie nie wyobrażam. Doprawdy, widziałam wszystko. Kiedy za dużo piszę, śmierć jest niezadowolona i karze mnie dodatkowym bólem nerek lub skurczem palców. Widocznie naprawdę wszystko jest tam ustalone. Co do sekundy. Wyobrażałam sobie, że ludzie pod koniec życia powinni wsiadać do Autobusu Kresu i przy dobrej muzyce i ciepłej herbacie, jechaliby na tamtą stronę; w świat spokojnej śmierci bez hospicjum, bolesnego wyczekiwania, katastrof, samobójców, wypadków, szpitalnych oddziałów beznadziejności. Byłby to znak od Boga, jak przyjacielskie dotknięcie ramienia i wiadomo, że już trzeba iść. Dwa dni wcześniej, by zdążyć przeprosić, napisać list, przytulić się do kochanej osoby, oddać rzeczy osobiste na przechowanie. Dlaczego każdy koniec nie miałby być szczęśliwy?

Na kolejnym przesłuchaniu przez policję przyznałam się, że ukradłam aligatora policjantom z Miami. Od tej pory pozostawiono mnie w spokoju. Oni sobie mnie tylko wyobrażali. WSZYSCY. Problem ciała. Mały Książę zostawił je na pustyni. Hm, sądzę, że śmierć załatwi to w inny sposób.

Stan trzeźwości stał się zagrożeniem dla całego systemu międzyplanetarnego. Funkcje sprowadzone do wydalania moczu i stolca. Bywało, że ktoś się czegoś ode mnie domagał, na przykład bym przesunęła nogę albo otworzyła zaciśniętą pięść. Dopadała mnie ciemność jakbym musiała poruszać się po długim, nieoświetlonym tunelu. Czy ktoś jeszcze zabłądził? Zazdrość. Odczuwałam ją gdy ktoś umierał.

Zarabiałam bardzo mało. Mężczyźni przerzucili się na trzynastoletnie heroinistki, świeżutki i jędrne, w które wychodzi się z oporem radosnej kopulacji. Małolaty jeszcze się nie zgadzały na inne formy seksu. Wiedziałam, że po kilku miesiącach zmienią zdanie, lecz musiałam sama obstawiać zboczeńców. Jeden z nich, gdy był bardzo podniecony, szybko przekraczał granicę mordy. Dusił mnie małymi, śliskimi mackami i powoli traciłam oddech w przekonaniu, że to koniec. A jednak stał się cud; facet miał przedwczesny wytrysk i ucisk zelżał. Rozplakał się i nie zapłacił. Do dzisiaj mam niewielki ślad, krwawy po lewej stronie. Jeszcze obecna, chociażby fragmentem palca. W latach sześćdziesiątych byłam bardzo małą dziewczynką; w latach dziewięćdziesiątych nie będzie mnie. Nigdy nie byłam kurwą śmierć

się ze mnie śmieje. Co to, to nie. Prostytycja przymusowa. Gdyby narkotyki były bezpłatne, nie byłoby narkomańskiej prostytucji. (Gdyby ludzie byli dobrzy, nie byłoby zła. Genialne!)

Usiłowałam się modlić. Codziennie inny rodzaj.

Mnogość Bogów i religii, a może tylko religii, świadczy o jakiejś metodzie, która pozwala niektórym ludziom trzymać w ryzach własne szaleństwo, ustawia ruch robaczkowy jelit we właściwym kierunku, napina twarz do uśmiechu jak cięciwę łuku do strzału. Byłam z pozoru niegroźną masą pojedynczego ćpuna, ale mogłam zarażać samym tylko istnieniem. Urojenie świata urojonego. To prawda.

Ludzie zdecydowanie zaczęli się zmniejszać. Karłowatość ludzkości. Być może chodzi o pokarm. W zupie pojawiały się ruchliwe makarony, a plemniki przekształcały się w obłe robale. Nie można było uprawiać fellatio.

Zwiększyłam dawkę kokainy do 250 mg i pojawił się we mnie dawny płomień. Znowu cierpienia Kafki, Prousta, Kierkegaarda wypływały zwartym strumieniem różowej rzeki. Zasłabłam dzisiaj. Mowa bełkotliwa, zimny pot wpływający do ust, ziemistość twarzy. Nie dałam się oszukać. Wiem, że mam jeszcze trochę czasu.

Ceny kokainy stawały się niewyobrażalne, lecz jak zmusić się do prostytucji, kiedy penisy zamieniały się w jadowite węże, wyszarpywały fragmenty pochwy i składały w macicy jaja egzotycznych ptaków. Kokaina gwarantuje ci jedną rzecz szaleństwo absolutne. Nawiedzały mnie koszmary, że po przebudzeniu nie będzie ani jednej dawki narkotyku na całym świecie. Był to absurd. Narkotyki są potrzebne do manipulowania ludźmi i zarabiania kosmicznych sum pieniędzy.

Następna dawka 350 mg.

Dostałam wszczepionej żółtaczkę. Byłam szarocytrynowa, z silnymi zakolami wokół oczu i granatowymi sińcami na ramionach. Mury szpitala stały się epicentrum wstrząsów sejsmicznych albo nowy rodzaj huraganu nawiedził miasto. Przy pierwszych oznakach niepokoju zapakowano mnie w kaftan jak mumię, z możliwością wgrzania się w ściany. Ach sen, sen, sen. To jedyne wybawienie na głodzie.

Piszę na leżąco. Śmierć w końcu dostarczyła mi łóżko. Inaczej nic by z tego nie było. Nawet zdarza jej się zrobić herbatę. Marudzi, że tego lata ma szczególnie dużo pracy. Żyłam na pograniczu jawy i snu, karmiona sondą, kroplówkami. Stanowiłam szczególne zagrożenie dla personelu. Przy toalecie lub podawaniu zastrzyków gryzłam każdego bez uprzedzenia.

Wszędzie czaiła się kara za przekroczenie granicy. Świadomość stawała się wymyślnym katem duszy i nawet neuroleptyki jej nie zagłuszały. „A gdzie jest piekło, tam my być musimy” Marlowe. Wiedziałam o tym od dawna.

Dawne rany, pozbawione przepływu trucizny, otwierały się, ropiały, wypadały z fragmentami mięśni przy odleżynach, cuchnęły słodkawo-gorzkiem odorem. Własny smród jest nie do wytrzymania. Po miesiącu odżywiania, wymuszania leków, chaotycznej pielęgnacji, nadal wzbudzałam lęk, kształtem zaczęłam przypominać ciało ludzkie. Ponownie uczyłam się chodzić. Chyba na moją zgubę.

Opuściłam szpital zaleczona z depresji. Tak twierdzili psychiatrzy. Uśmiechałam się wtedy, kiedy trzeba było. Reakcje emocjonalne adekwatne do sytuacji. W szpitalu usłyszałam wiele przekleństw i wiele słów litości. Nikt nie traktował poważnie mego ozdrowienia. Byłam przeznaczona na zagładę i wiedziałam o tym.

Nie mów nikomu o jego nienawiści. Znienawidzi także ciebie. Duch natury czuwa. Mnie nie ukochał.

Jak zwykle posprzątałam mieszkanie i czekałam. Nie, nieprawda. Na rogu takiej to, a takiej ulicy kupiłam narkotyki. Świeży, w przezroczystym opakowaniu i na następnym rogu, w miejskim szalecie wzięłam sobie potężnego niucha.

Żegnaj trzeźwości. Wyprawię ci wspaniały pogrzeb.

Nawet teraz dopada mnie uczucie bezsensowności pisania czegokolwiek, a jednak to robię. Struktura świata. Zło jako dopełnienie dobra. Pełnia. Każde przegrane życie ma sens. Dla kogo?

Nie mogę dzisiaj ruszyć z tą stroną. Zablokowanie całkowite myśli. Nie chcę, już nie chcę, lecz niedokończona książka jest czymś żalonym.

Niedokończony obraz jest sztuką.

ŻYCIE JEST NIEDOKOŃCZONYM OBRAZEM.

Płomień talentu zgasł we mnie jak wszystko, co w moim życiu dobrego zaistniało. Mgła marzeń sennych powoli opadła i powracając do domu stwierdziłam z przerażeniem, że nie ma już ogrodu, półdzikich krzewów róży, drzew pielęgnowanych przez ojca, nie ma murów, drogi, furtki, niczego. Świat marzeń stał się nieosiągalny.

Pojawiło się plackowate łysienie, niby nic do pełnego obrazu upadku, lecz bałam się. Czerń włosów pokryta sennymi księżycami. Miałam 21 lat, tak sędzę. Narkomania jako egoizm doskonały. Alkoholizm. Seks dla seksu. Ucieczka. Niczego więcej nie trzeba. Powrót w schematy życia podziemnego także był koszmarem, jak sen z którego nie sposób się wybudzić przed nadejściem świtu.

Krzyk. Ból, który pojawił się, bez szans na transformację.

Zmiana z zewnątrz nie nadchodziła. Dobrzy sąsiedzi zabronili mi wstępu do pobliskiego sklepu, dotykania ich chleba.

Wtedy byłam silna. Znowu brałam 150 mg kokainy dziennie. Ciało dobrze odżywione w szpitalu, przypominało wyrobione ciasto, które można skonsumować. Ludzie nieustannie chcą cię zjeść w jakiegokolwiek formie. Czasami tylko cię wyrzują. Świat podziemia przypomina porzucone wagony pociągu na bocznym torze, które nigdy nie dojadą do celu, służą za schronienie złodziejom i kobietom upadłym, sierotom i alkoholikom.

Nigdy nie słyszałam by kobieta zgwałciła i zamordowała z lubieżności mężczyznę. Coś jest w tych samcach bardzo agresywnego. Ich obsesje o udanych wzwodach po pięćdziesiątce. To doprawdy niesamowite. Kobiety natomiast uderzają inaczej. Moja matka... Wiem, wiem, mam pisać dalej. Zimno tu. Dlaczego mam umierać w tak złych warunkach? Śmierć, jeżeli aż tak mnie wybrała, niech się stara, i tak mnie dostanie. Wydłużyła mi się twarz. Opięta skóra na łysiejącej czaszce. Ramiona zapadnięte z prześwitem kości. Moje sutki... nie, zostawię je w tajemnicy. Naczynia krwionośne wydęte na zewnątrz, jakby krążenie oddzieliło się od ciała i poruszało według własnego, rytmu. Tysiące grobów, zapadnie, pułapki, druty kolczaste pod wysokim napięciem. Spalona ziemia, zaciemnione słońce. W sposób doskonały nie pojmowałam siebie.

Podczas stosunku z własnym szaleństwem doznawałam odżywczego orgazmu. Robaki po jednej stronie policzka. Naciskałam powoli palcem, pojawiały się symetrycznie po drugiej stronie.

Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Do czego potrzebna jest ci moja książka? Nie zdradzisz mi tej tajemnicy. Zasypiam. Nareszcie sen po pięciu latach. Gdyby ktoś potrafił mnie pokochać. Nie teraz. Tam, na początku drogi, zanim narkotyk stał się wszystkim.

Lekarz spokojnie przytulił mnie i powiedział: Dziecko, umieras. Wyrzygałam wczorajszy dzień. W jego gabinecie, na czystą, pachnącą podłogę. Już nie kontrolowałam niczego.

Dowodem na istnienie wiary jest to, że ludzie mieszkający niedaleko mnie, uwierzyli że nie istnieję.

Wieczorami dostawałam sygnały z Adhary, z gwiazdozbioru Psa Wielkiego. Tam nie było uzależnień i chorób psychicznych. Przysłali mi odmiany motyla Admirala, który ginął bezpotomnie. I nawet kolor błękitu gąsienicy nie wyjednał mu protekcji. Jeden z palców u nogi ma specjalne właściwości; działa jak czołg i zgniata robaczki w pokoju o różnych porach ich wylęgania.

Czasami udało mi się wyjść na spacer. Strzeliste topole nad rzeką przywoływały wspomnienia innego czasu. Kiedy przechadzałam się z ojcem za rękę, opowiadał mi o swoim świecie bez potrzeby oglądania się za siebie. Być może byłam kiedyś ukryta w bryle

przeznaczonej do oszlifowania, lecz ten kamień nie podlegał obróbce, ze skazą przez całą długość, nie miał nawet wartości handlowej. A jednak mój ojciec trzymał go w dłoni w taki sposób jak unosi się na wysokość twarzy największy skarb.

Śmierć przynosi mi jakieś leki. Może po nich śpię kilka godzin.

Usypiałam prawie bez oddechu. Mundus universus exercet historionem a ja śniłam. Malowałam autoportrety, zbyt bolesne by mogły przetrzymać rzeczywistość. Nie potrafiłam słuchać facetów z gaciami wypełnionymi nasieniem. Instytucja żony jest także formą spowiedzi. Było to zupełnie niestrawne.

Bolą mnie zęby, których nie mam. Bóle fantomowe zawsze mnie przyjemnie zaskakiwały. „A la recherche du moi perdu”. Nigdy nie uczyłam się francuskiego. To coś oznacza. I AM FED UP WITH PEOPLE. O.K.

Na tej stronie mam ochotę zniszczyć poprzednie.

Moje obrazy istnieją i nigdy, nigdy do nich nie dotrę. Jak tak można było siebie rozprzedawać. Jak własne dzieci.

Walka z nałogiem jest bezcelowa. Każde działanie przyspiesza rozpad lub depresję. Ptaki założyły totalitarne państwo w ogrodzie.

Dawki koki znowu zbliżyły się do bolesnej liczby 350 mg. Mój krzyk zawsze kończy się w momencie wyjmowania igły z żyły. Jest to czynność heroiczna, czasami wielogodzinna. Nie ma już ustalonego systemu, arterie zapadają się niespodziewanie, są opuchnięte, przejrzyste. ZAMARTWICA. Lekarze tym razem są jednomyślni.

Wczoraj połknęłam małego delfina. Śmierć jest sprytna. Nie musi mnie dokarmiać. W nocy nie potrafię także słuchać własnego bełkotu.

To była zbrodnia.

To srebrny wiatr na pożegnanie.

To samotność.

To koniec.

To zakazane łyzy dziecka.

To ja.

To sen.

Nie wierzę.

Wypalam 80 papierosów dziennie. Tak było z każdą sprawą. Wszystko było doskonałe, najdoskonalsze, śmierć jak łagodne przytulenie dłoni kochanków, muśnięcie tchnienia jaszczurki, płatek róży, chrapy konia. To było życie, to była Agonia. PRZEMIJANIE. Nawet nienawiść innych była doskonała. Kara za umieranie.

Śmierci, pomóż, urywa mi się wątek. Pojedynczość zdania. Może to także ma sens. No chodź już Basiu, już czas na twoją dawkę koki, już organizm domaga się jej działania. Nie możesz się dłużej ociągać, bo zacznie się zemsta ciała i będziesz biedna, oj biedna, zaczniesz występować przeciwko sobie (jakby szprycowanie nie było ostateczną samozagładą). No chodź, mamy tu coś dla ciebie wyjątkowego. Śmierć to podzuciła radosna, spróbuj, nadstaw przedramię, podam ci to jak komunię, niech się spełni. Niech się zacznie. Już mi zabierają zewnętrzną warstwę skóry, podnoszą, wypełniają. Krwawe placki przyciągają ławice leniwych much, oblepiają, wysysają i odchodzą zaskoczone. Cofanie kadru. Jestem w raj. Tutaj nawet ziemia nie odczuwa głodu. Sen, sen, dokąd się schował? Garście leków nasennych bez odliczania dawki, to już i tak bez znaczenia. Wyczekiwanie na krótki mrok, zapadanie się falujących nóg, tańczących oczu. Jeszcze raz trzeba starać się o łaskę zapomnienia. Czy religie są doskonałym zniewoleniem?

Pierwsza panika w związku z AIDS. Choroba zaczyna krążyć wśród narkomanów opiatowych. Miałam szczęście w tamtym wcieleniu, że mnie zdążyła dopaść. Ciekawe co się dzieje z Barbarą? Czy jeszcze żyje? Była taka chora.

Jest mi stale zimno. Stare lesbijki już mnie nie ogrzewają. Sądzę, że nikt w tej chwili nie odważyłby się do mnie przytulić.

Pieniądze na narkotyki były kwestią zasadniczą. Byłam zdecydowana na wszystko. Kradzieże, prostytutka, szantaż. Morderstwo? Nie, nie zabiłam drugiego człowieka w sposób ogólnie pojmowany. Jest to kwestia moralna samobójstwa.

Zatarły mi się nerki. Cewnikowanie jest niewygodną operacją, lecz czasami trzeba się wysikać. Tak po prostu.

Dlaczego narkotyki tak wyniszczają? Dlaczego nie ma takich, które nie zabierają zdrowia, duszy, umysłu, kariery, miłości?! Dlaczego potrzeba ich coraz więcej i więcej aż do niewyobrażalnych śmiertelnych dawek, które już nie uśmiercają? Ile razy można unicestwić się ostatecznie? Raz.

Jak dobrze, że wokół nie ma nikogo; tych oszukujących każdym gestem, słowem, uśmiechem, drgnieniem dłoni. Oni boją się bardziej niż ja; boją się wszystkiego szefa, podwładnego, ludzi na ulicy, przyjaciół, męża czy żony, rodziców. Są tak samo zniewoleni!!!!!!

To ja, ja przypominam im swoim wyglądem dawne winy, rozjątrzam sumienia, porażam zmysły, zmuszam do przypominania, że istnieje zło, które gdzieś głęboko tli się nierównym płomieniem w nich samych.

Nawet śmierć jest zakłamana.

Spaliłam pluszowego misia. Udało mi się to.

Codziennosc, która nie istniała. Zapomniałam alfabet. Teraz oczywiście znam litery, ale wtedy trudno mi było zebrać myśli w dojrzały owoc, w określony porządek rzeczy, w rytm Kosmosu. Dłonie były nieporadne, zataczały koliste elipsy.

Jak nadać kształt czemuś, co przelewa się przez palce, przebiega skurczem przez nerwy, nie ciecz, nie ciało stałe. Nic, co można by ujarzmić. Pełna koncentracja czynności w momencie podawania zastrzyku. Setki impulsów nerwowych zaprzęgniętych do tytanicznej pracy.

Malowałam transformacje robaczków, palcami na ścianie pokoju lub na zewnątrz domu. „Pijane robaczki” tak nazwałam cykl obrazów. Wszystko inne stało się bezimienne, wypadalo. Nowe obrazy stały się wydarzeniem, połączone z tajemnicą umierania i życia. Kokaina już mnie nie podniecała, dawała otepienie, nawet przyjemne, z bezwładem ciała. Wysyłam obrazy w Galaktykę. Miały wysoką cenę, Okupowano mój ogród. Grupa początkujących ćpunów. Naiwni, uważali mnie za swego przewodnika. Miałam ochota związać się z nimi za rękę i skoczyć w przepaść. Tylko tam mogłam ich zaprowadzić.

Ginęłam codziennie jak motyl. Nie pamiętam momentu przechodzenia. Zmalałam od pierwszego zastrzyku koki 5 cm.

Śmierć przyniosła magnetofon i kasyety. Mogę słuchać muzyki. To dobrze. Nie jest tutaj tak tragicznie. Nadmiar tragiczności zawsze odwraca twarz. Sperma, robaczki, pająki polujące w sieci na muchy, codzienność bez stanu trzeźwości, brak oddechu. Reanimowano mnie kilka razy. Śmierć kliniczna niczym nie różni się od snu. Uwierzcie mi. Przy dawce 500 mg kokainy nie potrafiłam zbliżyć się do mężczyzny. Nie wpuszczałam. Cholera, zniszczę to. Niech śmierć martwi się sama. Niech mnie zabiera w tej sekundzie. Pieprzę jej darowane 10 dni. Eutanazja. Zaczęłam zbierać. Jako pierwsza wśród młodych ludzi. Teraz wiem, że ci z AIDS chodzą z tabliczkami. Wyzwalanie litości dla modlących się. A jednak nie chciałam popełnić samobójstwa, dopóki śmierć nie stanęła w drzwiach i krzyknęła: Dosyć! Nie dojdę do kresu śmierci właściwej. Wyznaczyłam sobie inną datę. W pozostałościach ludzkiej formy pozostał umysł, ostatnia funkcja, najsilniejsza, która zanika najpóźniej. Pokrętnie rozumujący, zabiegany przeliczaniem dolara na koke, nie mający czasu na oczyszczanie, zagrożony wizją zagłady świata.

Hej, wy wszyscy którzy pragniecie być ćpunami. Tam w głębokiej podświadomości duszy ludzkiej jest wpisana tendencja do bycia nałogowcem. To ukryty gen przekazywany przez stulecia, który w sprzyjających warunkach zaczyna działać. Nagle spostrzega się, że inaczej popija się alkohol. Leki przy drobnych bólach same znajdują się w dłoni. Sen

przychodzi dopiero po trzykrotnie zwiększonych dawkach niż przepisał lekarz. A pewnego dnia trafia się na opiaty czy halucynogeny. I nie można bez nich żyć. Oto jest narkomania. Szukacie winnych: dom rodzice, szkoła. A winnych nie ma, NIE MA, po prostu nie istnieją. To my sami chcemy być nałogowcami, chcemy się uzależnić, zniewolić, zamknąć w obłądnie. Witajcie moje krwawe dzieci: jeden zastrzyk, jeden kop i lawina toczy się. A bunt Basiu na zniewolenie? No, co ty na to? A brak miłości? Co ty na to? Już nic, Basiu, już tylko śmierć.

Przespałam kilka miesięcy w przekonaniu, że nie żyję. Byłam taka lekka, że wiatr unosił mnie 40 cm nad ziemią i nie musiałam chodzić na opuchniętych stopach. Na dużym palcu lewej stopy zrobiła się cuchnąca dziura, która prześwituje jak luneta. Owrzodzenia na palcach, proszę mnie nie przytulać.

Ocal mnie Panie.

Już czas.

Dokąd? Kiedy?

Już wielki czas.

W drogę, przed siebie. Wiem, tuż, tuż. Oddaj mi stopy!

Pluton egzekucyjny czeka madam. Za zdradę człowieczeństwa.

Do szału doprowadza mnie tykanie zegara lub kapiący kran. Dobrze, że na koniec panuje tutaj cisza. Słowa, słowa. Umykały, uciekały jak przestraszone króliki. Co za przekłeta mozaika. Co za przewrotność pamięci dom, mama, kosz, próg, koszula, samotność, dziwka, brat, strzykawka, krokodyl. To krzyżówka nie do rozwiązania. To pułapka. Namalowałam obraz zatytułowany: „Śmierć nadchodzi nocą”. I przyszła, spodobało się jej moje dzieło, a teraz z niego się wypląca.

Zaczęłam powoli odzyskiwać spokój. Kiedy nie ma się nic do stracenia, nic cię nie zaskakuje. Ten cień, który jeszcze we mnie drgał, odbłask świecy, błysk mrocznych skał nad brzegiem oceanu, oto trwał we mnie cień, który nie pozwala zasnąć, wymyka się spod kontroli świadomości, daje złudzenie życia.

Odnalazłam w sobie nową prawdę; byłam ocalona przez czas, który dla mnie odszedł innym torem i moje dzieło. Czy zrównoważy moją zbrodnię? Nie wiem. Cena jest niewyobrazalna i rodzi boski sprzeciw, chociaż uważam, że to ludzie wymyślili religie, bo kochają być zniewoleni lub są zbyt słabi, by kierować się własną moralnością. Nadal zjadałam na śniadanie włochate gąsienice, zielone w pomarańczowy deseń. Posiadały wiele cennych mikroelementów. Nie byłam sama w domu. Drugi pokój zajął inny ćpun, heroinista. Odkryłam go niespodziewanie i doszłam do wniosku, że jest zupełnie nieszkodliwy. Niczego nie oczekiwał, nie mógł kopulować, warzył napar z maków i kołysał się w takt muzyki. To

nowa choroba sieroca. Stawiałam mu na progu sałatkę z otrutych motyli lub larw, ale ópun nie był smakoszem. Czasami zesrał się i stał w kupie godzinami. Nie pamiętał swego imienia i w jaki sposób tu trafił. Kiedy pochylałam się nad nim by podciągnąć mu spodnie, słyszałam spowolniałe bicie jego serca: tik... tik... tiiiiik... puk... puk... Cisza. Jest, znowu bije, ręka porusza palcami, drga. Można wyciągnąć igłę z żyły. Bukiet kwiatów, codziennie świeży, ułożony jak na grobie, przez kogo, nigdy się nie dowiedziałam, kto przez całe lata ośmielał się wpuszczać słodkawy zapach w trupi odór ogrodu, w sen, drażnić powietrze i oczy kolorem sacrum i melancholii. A jednak zawsze były złożone. Dla kogo tak mocno umarłam za życia? Czy miałam jakiegoś tajemniczego PRZYJACIELA?

Ciało stało się obce, istniało poza mną, torturowane, nadgryzane przez brunatne jaszczury pełzające i atakujące z sufitu. Były zbyt namacalne.

Kiedy człowiek jest naznaczony piętnem samobójstwa? Czy już nic się nie liczy? NIC? Nie mogę dopuścić, by po mojej śmierci ktoś jeszcze ingerował w moją fizyczność. Lepiej oddać ciało jaszczurom na pożarcie, na zmiżdżenie w przepastnych zębach czasu. Boję się. Nareszcie boję się.

Zapłacić za narkotyk każdą cenę to powracało w podświadomości nieustannie. Wejść w gówno, zjeść gówno, wycalować kutasa, dać się wypieprzyć kilku starszkom, wprawić w orgazm stado lesbijek. NIE MOŻE ZABRAKNAĆ TOWARU.

Let me light my dark lamp at Thy fire.

Sądzę, że nawet po eksplozji, śnieg pozostanie w kosmicznych drobinach i będzie pobudzał do śmiechu cząstki elementarne.

Prawdopodobnie miałam kilka czy kilkanaście samoistnych poronień, przelotnych jak jednodniowy romans, trochę bólu i krwi. Coś w rodzaju bezpiecznej influencji, bez powikłań. Oczywiście, obecnie jestem bezpłodna.

Nie potrafiłam liczyć dawek. Zagubiona rachuba. Pewno wielokrotnie przekraczałam dawkę śmiertelną. Nieustanna agonია, szron ścinający krew, fale obłędu, strachu, przerażenia. Wgryzanie ściany, wzory toczone paznokciem. Filozofia samotności. System umierania. To już nie samobójstwo, to nie ma kategorii.

Nigdy nie miałam przyjaciela. Rimbaud, Van Gough, Kierkegaard, Pascal. Tak, ONI zaistnieli, kiedy jeszcze potrafiłam czytać i patrzeć. Dopóki kokaina mnie nie spaliła. Było za późno kiedy dowiedziałam się, że można się udać w Podróż Na Wschód. Z trzech możliwości, wybrałam podwójne rozwiązanie: samobójstwo i obłęd. Konfrontacja ja ja lęk bez jednej łzy czy wzruszenia. Byłam po przeciwnej stronie archetypu cienia. Śmierć pod postacią diabła lub diabeł pod postacią śmierci.

Za mało mam słów śmierci. Teraz rozumiem twoją karę dla mnie. Teraz ujrzałam to. Czyż podobna opowiedzieć swoje życie, tak idealnie zatrute poprzez narkotyczne spostrzeganie całego świata wewnętrznego i zewnętrznego.

Zanikanie. Tak można określić stan ciała i umysłu u kresu narkomana. Wietrzność jako nowy rodzaj psychozy. Po tamtej stronie życia, tunelu, rozpacz, zaciemnienia. Księżycowe dzieci, wypalone kratery. Widywałam martwe, młode ciała, zupełnie niezniszczone w początkach narkomanii, jednak doskonale uśmiercane szaloną dawką, jędrne, jakby uśpione w pierwszej dobie od chwili zgonu. Później pojawiał się zwykły smród. Uprawianie jakichkolwiek stosunków seksualnych stało się niemożliwe. Nawet dno posiada osobisty zmysł estetyczny.

Stałam się władcą absolutnym moich obrazów. Na mój rozkaz stawały na nocnym apelu uskarżając się na los, zamknięcie czy niezrozumienie. Nie mogłam im pomóc. Co można uczynić kiedy nadchodzi wezwanie?

Przypominałam źle ukształtowaną rzeźbę; coś w stylu pop-art. Było w tym coś z metafizycznego szoku dla oglądających.

Przełamanie własnego wstrętu. Jak ogromne zadanie stawiałam otoczeniu. Z lekkości, którą odczuwałam, weszłam w stan ociążałości. Utrudniał poruszanie i przestałam wychodzić z domu. Być może zalegały we mnie dawne poronione płody. Kiedy czułam, że jestem w ciąży, żyłam w dziwnej ekstazie, lecz myśl o potworkach, które mogłam urodzić, powodowała, że zwiększałam dawkę i wędrowałam po ulicach nieznanymi miastami aż do ostatecznego rozwiązania na którymś ze śmietników.

Nieuchronność rzeczy i spraw wyslizgiwała mi się z podświadomości. Doskonale zablokowałam świat realny, by utonąć po drugiej stronie. Ramiona pokryte ropniami niczym skorupą, dawały złudzenie ciepła.

Nie, nie potrafię zniszczyć tej książki, lecz śmierć od razu wyczuwa chwile zwątpienia i przybiega, i bezboleśnie robi mi zastrzyk.

Dzisiaj odkryłam, że nie posiadam prawego przedramienia, więc jakim sposobem zapisuję te strony?

W tramwajach zajmowałam miejsce leżące. Ludzie nie reagowali. To naturalne. Tam podąża człowiek. W paranoję tłumy.

Zawsze zabierałam czas innym, nawet psychiatrom.

I to mnie nie ominęło. Zakład psychiatryczny. Moje ciało stało się oskarżeniem, musiało zniknąć z ulic, ze świadomości, z powierzchni ziemi. Ciało moje w czystej pościeli jest widokiem niewłaściwym, jakby obcy statek wtargnął na wody terytorialne innego kraju.

Opuszczałam każdorazowo szpital potajemnie.

To koszmarnie pragnienie spełnienia, które powracało. Trzecia możliwość wyboru życia. Jak się wyzwolić, kiedy lęk zabiera każdą zdrową myśl.

Nawet Akademia Medyczna nie chciała kupić mego ciała. Pojawiały się napady epileptyczne, które zabierały resztki świadomości, rzucały o ściany, osaczały oddech. To wyczekiwanie. Być może na ostatni list. Od Przyjaciela. Tak, miałam Przyjaciela. Nie mógł mi pomóc, nie chciałam. Nie mógł nic uczynić. Nie zdradziłam mu tajemnicy, nie napisałam, że się topię. Przyjaciel, który się nie domaga, nie żąda. Akceptuje. Za dużo wymagam. Tak, jakbym chciała jednym uniesieniem zbliżyć się do Absolutu. Inna bajka. Wspólne brzmienie chwili. Samotność épuna jest taka sama. Przyjaciel zawsze może zdarzyć się w życiu jak wiele innych dobrych czy złych spraw. Przyjaciel, to takie proste. To takie nieosiągalne.

Psychiatrzy zaczęli przemawiać do mnie niezrozumiałym językiem. Nie miałam w swoich kategoriach pojęciowych takich słów jak: przyjaźń, uczucie, uśmiech. Przecież tkwiłam w letargu od tysiącleci. To nie miało znaczenia. Zawsze kończyło się ziemią psychiatryczną, z roztrzaskanymi skrzydłami, kiedy otoczona przez sanitariuszy doznawałam objawienia przy podawaniu neuroleptyków. (Niedawno odkryłam jak doskonałym samozniszczeniem jest alkohol w połączeniu z barbituranami, ale o tym innym razem). Byłam przytwierdzana zbawiennymi pasami do ruchomego łóżka jak do ulotnych piasków. Zakłady dla obłąkanych toczą się po świecie na cyrkowych wozach.

Wędrować.

Kiedy poruszasz się chociażby jednym załamkiem palca, żyjesz.

Nie szeptać. Ściany wołają.

Wspomnienia przysypywać dobrym światłem.

Metalowy smak w ustach chłodzić, ochładzać oszronionym sokiem pomarańczowym.

Podawać w chorobie gorący napar z maku.

Wybudzać w sobie inny rodzaj lęku, by nie kruszał, nie zastygał wraz z ciałem, nie wykrzywił ust.

Płacz, płacz. To zawsze wolno pomimo zakazu.

To także człowiek.

To przemijanie.

To oddawanie bólu trawom, ziemi, cieplej skórze.

Pokochaj chociaż na chwilę, na ten moment, czas taki biegły, zabiegany, prędko jak jedno wspomnienie krzyku, pokochaj by odeszła.

Jesteś.

Ból jest realny.

Oto stało się.

Takie oczywiste.

W obłędzie.

W samotności obłędu.

W muzyce obłędu.

W obłędnej samotności szaleństwa.

W kokainie.

Umierasz.

I nic, absolutnie nic nie uchroni cię przed zachorowaniem.

Powracało obsesyjne spoglądanie w oczy innych, na ulicy, w autobusach, miejskich szaletach, drzenie nerwowe powiek, pojedyncze wypadanie rzęs pocieranych palcem, chrząkanie, drapanie w gardle, zatrzymywanie wdechu, zaskoczenie w źrenicach i wreszcie eksplozja słów, drobnych, kłujących, jak śmie tak wprost patrzeć im w oczy, uczciwym, spokojnym, tak zwyczajnie na ulicy, taki łach ćpunka, na ich drodze, do domu, do sklepu, do pracy, po męża alkoholika, do przedszkola po dziecko. Jak śmie!!! Całą noc padało. Liście zielone jeszcze wczoraj, dzisiaj są pokryte pomarańczowozłotawym odcieniem. Przemiany przyrody zawsze mnie zdumiewały, o ile byłam w stanie je zauważyć.

Buntuję się. Został mi tydzień, a tu nieopisana część ostatnia. Jednak w jakimś sensie dopadało mnie oświecenie, być może skrajne od czystego dźwięku i mogę dzisiaj świadomie funkcjonować jako przepływ kokainy przez każdą cząstkę organizmu.

Teraz, dopiero teraz muszę znosić życie, choć krótkie lecz intensywne. W ciągu miesiąca przeżywam całe lata, a kto wie, może i stulecia. Wierzyłam, że kiedyś to nastąpi, teraz przeklinam. Nie. Umrę świadomie. To Jest Piękno.

Śmierci, proszę, jestem zmęczona, kokaina nie działa, bo jestem nią sama, więc jaki jest sens by mnie tu trzymać? Dokończyć pisanie?

Przeznaczenie czy wybór? Kurwa, wybór.

Mam jedną prośbę Panie, umrzeć i nie zmartwychwstawać, bym już nigdy nie uderzyła. Widzisz śmierci, po co mi dałaś te chwile samoświadomości, nie mogłam tak po prostu odejść jak inne ćpuni. Wraz ze świadomością objawiłaś mi pustkę, która kusi by ją zapelnąć. Co za tortura.

Tak wiem, jestem kokainą.

Jestem trucizną.

Kim ty jesteś, że tak troskliwie się mną opiekujesz, niczym matka? Dosyć, trzeba

wracać do wspomnienia.

Ludzie tylko na małą chwilę zachłystują się twoim samobójstwem i idą dalej. Czy jest ktoś, kto zatrzyma się co roku, zapamięta?

Milczenie. Poznane i tajemnicze. Z wolnego wyboru. Było to jedyne wyjście, kiedy cały świat domagał się skazania. Nigdy nie złożyłam żadnych wyjaśnień. Porozumiewał się ze mną sprzedawca losów na loterii, kiedy kupowałam u niego złudne szczęście. Wtedy na moment uśmiechałam się szarozielonymi wargami. Mężczyzna czynił gest, jakby chciał mnie powstrzymać za rękę przy podawaniu kuponu. Wynik losowania zawsze był ten sam pusty los. To mnie nie zniechęcało, powracałam następnego dnia by powtórzyć grę. Było to coś na kształt rytuału, stały element, jedyna forma pozornej stabilności w moim życiu. Mężczyzna czasami mnie oszukiwał i twierdził, że los wygrał. Mogłam ciągnąć następny bez zapłaty. To zdarzenie zaliczałam do szczęśliwych. Potrafiłam o nim pamiętać aż całą godzinę. Codziennie zabierałam swój cień do muzeum obrazów surrealistycznych. To tak jakby namalowano moje wnętrze albo postać zewnętrzną. Czy ci malarze także rozpadają się za życia? zadawałam pytanie przewodnikowi.

Byłam obrazem własnego świata.

Gałąz za oknem. Monotonnie uderzała o krawędź muru i dawała pewność, że żyję. Wiedziałam, że za specjalną opłatę znajdę ćpuna, który zrobi mi złoty strzał. To jest zupełnie proste. Martwych narkomanów zastępuje się żywymi. Jest to warunek stabilności rynku, towar musi być w obiegu.

Przeżycia dla mnie samej stawały się zmienne i nieoczekiwane. To przypominało rozstrojone skrzypce. Eksperyment na jednej strunie, niewłaściwe nuty. Brak zapisu w pracy mózgu. Podobieństwo do mojej prześladowczyni; ona kurczowo trzyma kosę w dłoni, ja strzykawkę.

Musiałam poddać się operacji plastycznej pochwy. Nadmiar kopulacji spowodował jej trwałe naderwanie. Nie było problemu. Nikt nie chciał tego zrobić. Zaczęłam zgadzać się z Arturem Rimbaudem, że należy stworzyć duszę potworną, by zaistnieć jako poeta, jako artysta w ogóle. Wtedy łatwiej zrozumieć siebie, świat, drogę, po której się kroczy w stronę upadku, własny ból i samotne przeklinanie niedoskonałości. Upadek moralny w celu osiągnięcia stanu pokory. To podobno z Junga. Inaczej nie można przetrzymać choćby następnej sekundy istnienia. Świat idzie niewątpliwie ku samozagładzie, ale poezja, no właśnie poezja jeszcze przetrwa, przetrzyma tysiące obłądów jej poetów; nie zostanie wessana przez smog, pokona bronie masowego rażenia. Bo poezja jest gazem bojowym, który poraża duszę nie naruszając otoczenia. Moje wiersze. Zapewne istniały. Mgliste i wietrzne jak

wszystko. Mężczyźni, kokaina i taniec. Seks. Oto była spełniona wolność, popuszczone węzły, stopniowo w lawinie, w zaśmiewaniu się, w krzyku przez łzy, w uwięzieniu grzechu. Stałam się meteorytem krążącym wokół ziemi.

Spadałam, roztrzaskując odłamki na ogrody, lasy, doliny. Robaki. Ludzie-robaki, robaki-ludzie. Przechadzali się wokół domu spokojnie, niemal dostojnie, codziennie pokazując paluchami.

Nie byłam bytem materialnym, lecz to jest ta zagadka dla filozofów. Teatr narkomanii porażał miasto. Prolog i epilog bywają podobne, efekt samookłamywania jest jeden: rozpad i samobójstwo. Zmieniają się jedynie układy aktów środkowych, konstelacje odwyków, pomysły nowych przestępstw, które w ostateczności okazują się być powielane. Kiedy narkotyk poraża duszę, kiedy choroba zaczyna drażnić każde drgnienie aktu woli, osaczać zmysły, zniekształcać pragnienia, wymazywać z serca uniesienia miłosne, zabierać możliwość seksu, kiedy czas jest zagoniony zdobywaniem środka, widmo śmierci rozbawione podąża regularnie za ćpunem. Oto miejsca akcji: hotele, gdzie zarabia się na towar i rozprowadza AIDS i inne choroby weneryczne. Główna scena, gdzie sprzedaje się towar, tak zwany trójkąt czy bajzel wydzielone miejsce i pobocze bramy, i ulice, odległe dzielnice, gdzie znajduje się zwłoki.

No tak, miało być o mnie. Stan świadomości poza moralnością.

Zdarzało mi się wyjść z mieszkania, z mego grobowca, wędrowałam z atrapą nieodgadnionego uśmiechu w kąciку ust, z majestatycznie podniesioną głową i z oczopląsem. We mgle świtu nad rzeką dzieciństwa zdawałam się być zjawą straszącą wybudzonych pijaków, którzy na mój widok modlili się zapomnianymi słowami.

Patronka Upadłych i Zarzyganych. Patronka Obląkanych.

Zawładnęłam wiecznością, wciskając ją do tłoka strzykawki i codziennymi dawkami kontrolowałam czas.

Różnica pomiędzy kokainą jest taka jak między obłędem a samobójstwem, czyli samobójstwem w obłędzie. Nie ma żadnej.

Czy istnieją takie krainy lub przestrzenie, gdzie północne, schłodzone wiatry powstrzymują ciała od gwałtowności, albo ciepłe morza łagodzą ból w dłoniach? Kto tam uśmiecha się do obląkanego w lustrze? Kto wędruje poprzez rozsypane księgi rodzaju? Przed sobą nie uciekniesz w żaden czas, krainę czy chorobę. Przyjdzie taki moment, że chociaż na chwilę będziesz musiał powrócić.

Strzykawka wypada mi ze zdrtwiałych palców i narkotyk wylewa się na lepłą podłogę. Plama jest faktem.

The time is out of joint.

ODSŁONA CZWARTA: DELIRIUM COCAINIKUM

Wyjrzało słońce wraz ze świtem. Nie śpię, nie czuwam. Sądzę, że nie ma naukowego wyjaśnienia mego obecnego stanu. Systematycznie zbliżam się do kresu.... Zmniejszyłam się o dalsze cztery centymetry. Czy zmieniałam się w drzewo bonsai? Świat bardzo małych ludzi byłby pewnym rozwiązaniem kwestii żywieniowych i mieszkaniowych. Oczywiście wykluczając potrzebę przestrzeni.

Przerastały mnie moje obrazy, paleta stała się wielokrotnie cięższa. Malowałam miniaturowe kosmosy i czasoprzestrzenie przetykane niemi pajęczyny, umazane fekaliami robaków. Sądziłam, że nad ziemią jest zawieszona Wielka Dupa, która co jakiś czas wypróżnia się nad kontynentami i obsrywa tu i ówdzie miasta, kraje, ludzi, w zależności od powiewu wiatru. Ściany pomalowałam na kolor pomarańczowy. Posprzątałam mieszkanie. Słodczy pustki. Wiatry przynosiły świeży powiew, wilgoć zanikła. Szczury zaskoczone przemianą zmieniły rewir żerowania. Ból przeszywający odleżyny zmuszał mnie do działania. Zamroziła mnie Królowa Śniegu, oczy odbijały doskonale światło bez mrugnięcia powiekami.

600 mg kokainy. Świat zawirował i upadłam. Śmierć wystraszyła się, że odejdę zbyt wcześnie. Zastygłam w półkłępczącej pozycji, w Wielkim Oczekiwaniu na ostateczne rozwiązanie, sparaliżowana przez skurcz mięśni. Nagle nastąpiło rozluźnienie i potężny, gardłowy śmiech wypełnił pokój, jak woda przedziera się przez zaporę. Tak odnaleźli mnie sanitariusze, związali i wrzucili do wozu. Kierunek akcji szpital psychiatryczny. Byłam grzybem, który żywił się martwymi drzewami albo kliszami fotograficznymi, na których utrwalone było moje życie.

W szpitalu zaczęłam mówić, jakbym musiała powtarzać zaległe lekcje. Wyrzucałam z siebie bezkształtne słowa, sylaby, nawracające uporczywie głoski. To były jakieś zawody, na których trzeba nieustannie ścigać się słowami, by nie usnąć, nie znieruchomieć. Lekarze nie przemawiali do mnie. Nie dopuściłam do tego. Zostałam zamknięta w izolatce z wytłumionymi ścianami. Nerki przestawały funkcjonować. Śmierć łagodnie osuwała się wzdłuż kręgosłupa lecz powstrzymywano ją. Walka trwała dziewiętnaście dni o każdy oddech, przyspieszenie pulsu, jedną kreskę temperatury.

Przenosiłam się do Wielkiej Mgławicy, moja świadomość obejmowała zbyt wiele systemów bym mogła je skoordynować na połączeniach systemu nerwowego. Posiadałam inną budowę połączeń synaptycznych, przetransformowanych przez kokainę. Lekarze nadal w absolutnym milczeniu, jakby całkowicie zaskoczeni moim istnieniem, wlewali we mnie płyny

ustrojowe, podłączali do respiratora, badali krzywą pracy mózgu. Po przebudzeniu oskarżałam ich o zbiorowy gwałt. Powiększenie pochwy było wyraźne, śluz wyciekał nadmiernym strumieniem.

Podłuch zainstalowano w wywietrznikach na sali. Stamtąd szeptali. Dlatego gromadzili mój mocz, by w kroplówkach podawać coraz więcej trucizny. Walka z pasami była bezcelowa, mięśnie popadały w rezonans przy każdej próbie ich naprężania i jakaś niewidzialna dłoń powstrzymywała mnie, przynosząc chwilową ulgę. Anioł Stróż łaskotał mnie w stopy wywołując szczęśliwy spazm śmiechu i dawał poczucie ciepła. Po powrocie z Wielkiego Snu rozpoczęłam naukę chodzenia. Porażone mięśnie posuwały się powoli pod naporem szkieletu, a zmysł równowagi nie potrafił zaskoczyć nowym rytmem wzbudzania. Stawiane kroki przy pomocy ściany były oklaskiwane przez innych pacjentów. Zwieracze zawodziły w każdym momencie i kupa spływała na świeżo wymytą posadzkę. Telewizja była nieznośna, stale nadawano o mnie programy, a spiker obrzucał mnie przekleństwami. Gasiałam aparat, co wzbudzało niezadowolenie.

Kiedy opanowałam sposób na poruszanie się, podniecenie narastało i wirowałam w tanecznych podskokach w palarni lub holu głównym, co zaburzało porządek i ciszę. Spokój na psychiatrii jest wpisany w regulamin i należy go bezwzględnie przestrzegać. Za karę zabroniono mi oglądania telewizji. O Bogowie, nie mogło być większej ulgi. Zaczęłam zastanawiać się jaka tajemnica tkwi w sile ramion sanitariuszy, kiedy każdy pacjent nieruchomiał na ich widok, milknął w krzyku i nikt, nikt nie poskarżył się za uderzenie w twarz czy kopnięcie pod prysznicem.

Nikt mnie nie odwiedzał, nie pytał czy stan mój ulega poprawie. Najchętniej tańczyłam nago, za co zaraz byłam przywiązywana do kaloryfera.

Lekarz namawiał mnie bym malowała. Pędzelek wędrował po kartce i zostawiał kilka bełkotliwych plam.

Oni czekali zaczajeni, by mnie wchłonąć w otwór do mielenia na mączkę, którą żywili szpitalne świni.

Kto w tak uparty sposób wygrywa symfonie Beethovena, pośrodku kamieniołomów w Kaliszanach?

Zostałam podłączona pod komputer schizofrenika i stałam się eksperymentem w dziedzinie Robakologii, przemiany larw, budowy odnóży, sposobu odżywiania i atakowania naskórka, kolorów godowych.

Mózg lekarzy także jest skomputeryzowany, mają zakodowane dawki leków, sposoby pacyfikacji. Nie ma bezpośredniego połączenia z pacjentami.

To niepojęte! Kazali mi myć klozety! Mnie, która sterowałam całym systemami! To zbrodnia na moim geniuszu!

Wewnętrzny podsłuch, który połknęłam podczas kolacji wymagał stale pozycji pionowej i konserwacji kokainą.

Zakaz onanizowania!

Zakaz palenia papierosów przez trzy dni. Za kradzież spirytusu z apteczki oddziałowej. Panie mój, jeden mały niuch wtedy, a spełniło by się Królestwo Boże. Taka niewielka szpryca, która już nie zaszkodzi, takie nic, ot tak sobie, by poczuć inaczej smród oddziału. Nie mieli żadnego prawa by mnie więzić. Byłam jedynie zdolna do ucieczki; prześlizgnęłam się przez kratę w palarni o zmierzchu, kiedy następuje zmiana personelu i odeszłam w las otaczający szpital.

Nareszcie wolna, bez ciosów, bez poniżania duszy, bez zmuszania do jedzenia i kąpieli. System komputerowy zmniejszył zakres działania; dotarłam do domu bez nakazów. Czasami obłąd jest dobrym wyjściem.

Stałam się nienamacalną strukturą bytu.

Ostatecznie pokusa samobójstwa tkwiła we mnie od dziecka. Zapach umierania, zawijanie nici życia w supełki, niedbale, zapach wonności przekroczenia zjawy. Na dzisiaj wystarczy. Muszę ułożyć się wygodniej, nigdy nie wiem, gdzie jest granica mego ciała, to coś płynnego, przybiera kształt wgłębienia w łóżku. A słońce nadal świeci. Jest coraz cieplej. Co za dziwny wrzesień. Wczoraj udało mi się na chwilę wyjść do ogrodu; niebo było roziskrzone setkami gwiazdozbiorów. Królowała Wielka Niedźwiedzica. Poczułam spokój, głęboki, przenikający mnie niczym doświadczenie prawdy. Wiedziałam, że taki spokój przychodzi, kiedy przekracza się stan umierania w agonii i wchodzi się w stan śmierci klinicznej, kiedy ciało jest jeszcze po tej stronie, a zmysły dostrzegają światło, ból zamiera, odpływa łodzią w dół rzeki. Ból także jest zniewolony w ciele, walczy, staje się uczłowieczony. Zaczęłam brać kokainę w tętnicę szyjną. Innej możliwości już nie posiadałam. Byłam jak bańka mydlana, pozbawiona ciężkości; mogłam fruwać bezpiecznie na ograniczonej przestrzeni.

To jeszcze kilka dni. Czuję się coraz gorzej, chyba mam gorączkę, myśli ponownie uciekają, są niezdarne, zagubione w słowach, oddech ulega spłyceniu, ostrość wzroku zmniejszyła się o 60%. Lecz teraz czuję, że chcę dokończyć wspomnienie. Ja sama tego pragnę.

W kawiarni przyglądałam się wirującemu pod sufitem wiatrakowi o potężnych, ostro tnących powietrze skrzydłach. Nagle jedno z nich urwało się i cięło głowy siedzących ludzi. Ja w ostatniej chwili umknęłam pod stół. Krew jasnym, żywym strumieniem rozpryskiwała

się po ścianach, tworząc nowoczesne malowidło z mozaiką ciepłego mózgu. W kawiarni panowała cisza, wiatrak sam się zatrzymał, ucichły jęki zabitych. To naprawdę nie była moja wina.

Sen powracał. Wibrujący dźwięk przekraczał barierę czasu, prznosił moje ciało w tysiącletni las pełen niewidocznych ścieżek, gąszczy i wysychających źródeł. Na wzgórzu stał kościół otoczony krzyżami, wymarły, bez tchnienia modlitwy, wypełniony pustką lasu i zapachem gnijącej podściółki starych liści i zwłok zwierząt. Nie potrafiłam stamtąd uciec, nie umiałam odnaleźć drogi. Obciążone nieznanym ciężarem nogi wbijały się w lepłą ziemię wokół kościoła. Wiatr zamarł, było bezszelestnie, bez ruchu.

Rozpoczęłam tajną wojnę z odbiornikami telewizyjnymi. Spikerzy przekazywali społeczeństwu rozkaz wykonania na mnie wyroku śmierci. System transmisji przebiegał przez moje jelita i wysysał resztki żywotności. Zbrodnia doskonała. Latarnia pod domem przekazywała sygnały świetlne przeciwnikom, czas emisji, kiedy udało mi się przyjąć trochę pokarmu.

Olśnienie prawdy ostatecznej: każda choroba to maska.

Nie śmierci, tak nie będziemy się zabawiać. Jeżeli zależy ci na tym tekście, to przywróć mi lepszą sprawność umysłu i wzroku.

Instynktowne pragnienie śmierci nad ranem przeradzało się w obsesyjną chęć życia, choćby kilku lat szansy na inną postać.

Szatan zapładniał mnie co noc, nakazywał rodzić potworki. Usiłowałam je topić wkładając kamienie do wzdętych brzuszków, lecz woda wyrzucała je jak baloniki i fale gniewnie pluły mi w twarz.

Jesień wypełnia otoczenie.

Już czas.

Czym było tamto ciało pełne zaczarowanych labiryntów, uniesień rozbudzonej z porannego snu skóry, pełne tajemnicy dotyku, kiedy stawiałam się kobietą, ja, dziecko kobieta w wibrujących światłach poklasku, oparów kokainy, zaciśniętych palcach na wszelkiej maści członkach albo tłoczona ciężkimi dłońmi policjantów na kraty. Cieleśność. Dusza. Rozdzielenie od początku istnienia. Kto staje się całością? Zapach jesieni jest realny, bardzo wyraźny, wypełnia dom, ociera się leniwie jak kot o drzewa w ogrodzie.

Moje kolejne urodziny: 22, 23, 24, 25 lat. Odmierzano mnie przez kroniki policyjne czy karty statystyczne szpitali, oczy kobiet: Spójrz, nie ma jeszcze 30 lat, a wygląda na sto, może 1000 lat.

To dorośli tworzą obłąkane dzieci.

Ja wykonuję jedynie ich zamiary.

Nie znałam zbyt wielu ludzi w zwykły sposób. Mężczyźni na jedną noc zawsze odgrywali jakieś role, supermenów lub nieszczęśliwych i pokrzywdzonych. Chyba w jednym człowieku jest wiele postaci, które obumierają jak skóra węża, odpadają od głównego trzonu, a na ich miejsce odrastają nowe, mniej lub bardziej zagmatwane, polepszone lub zakazane. Tylko ja malałam w kolejnych warstwach.

Człowiek potężnieje jak słoje drzewa, upada pod jednym ciosem lub powoli obumiera od środka.

Diagnoza ludzkości tragizm nawracający.

Wystraszyłam się dzisiaj. Ponownie zaczęłam odliczać godziny, sekundy, drgania słońca na horyzoncie.

Powraca majaczenie jakiś rozkaz?, nakaz?, żądanie?, prośba? Kolejne ostrzeżenie bliskości.

Nie mogę stwierdzić, że kiedykolwiek kochałam życie, rozświetlone poranki, złotawe jesienie, wybudzanie świtem, rozśpiewane stada ptaków, spacer po mieście, pożądanie pięknych dusz o tak, na pewno są tacy ludzie, duchowo cudowni, krzewy ciepłych róż, marzenia, marzenia, marzenia.

A jednak znalazłam swą doskonałość. W umieraniu.

Mój ogród walczył o istnienie. Słońce pochylało się nad nim zawstydzone, wysuszało krzewy i drzewa. Strzepywałam spokojnie z siebie węże, jaszczurki, wybierałam z włosów motyle, zrzucałam ze stóp ropuchy. Obrazy i barwy wirowały, rozbiegane kolory łączyły się w mozaiki, pokrywały zeschnięte liście, usiłując wydobyć z nich światło. Z oczu wypływała mgła, osnuwała trawniki. Krzyk paraliżował ptakom serca, wykrzywiały dzioby w grymasie podobnym do ludzkiej twarzy. Z gniazd wypadały martwe pisklęta. Ibi magis iam non ego św. Augustyn nie daje żadnej szansy człowiekowi na dopełnienie się, niezależnie od kierunku ruchu.

Sądzę, że to nie ja wszystko to piszę. Patrzę na tekst szklanymi oczami, nie widzę słów, nie czuję zdań, nie oddycham, nie cierpię. Nie przeklinam. Nie uśmiecham się. Nie opowiadam. Samotność jest potęgą.

Spotkałam dzisiaj drzewo, rozbudzone kolorami jesieni, ciepłe, przyjazne, delikatnie szumiące w słonecznym poranku. Udało mi się swobodnie odetchnąć. Twory wyobraźni nadal przybliżają się i oddalają, przelatują jak spłoszone stada ptaków, znikają jednym pociągnięciem gałek ocznych, rozpryskują się o ściany, wyłaniają się z kurzu, szpar podłogi.

Wszystko zaniknęło, nawet idea pięknej duszy, której poszukiwałam, kiedy udawało

mi się być trzeźwą.

Barbituranty, opiaty, alkohol. To jedna strona śmierci. Kokaina przemknęła zdecydowanie w przeciwnym kierunku.

Śmierć przyniosła mi radio. Słucham koncertu skrzypcowego. Udaje mi się rozpoznać dźwięk.

Wyczekiwałam i nasłuchiwałam. Znaki z Kosmosu były wyraźne i jednoznaczne. Wielkie mocarstwa wysyłały setki satelitów z nową, groźną bronią. Atak miał być niespodziewany, a ja nie mogłam ostrzec nikogo. Kto mógł mnie wysłuchać?

Nerki u kokainistów są zbędnym ciężarem. Nabrzmiewały, dwa tygrysy prężące się do skoku. Dializowano mnie poprzez żyły znajdujące się na brzuchu. Szum pracującej sztucznej nerki działał na mnie odprężająco. W śmierci klinicznej słyszałam głos matki, która twierdziła, że to już niedługo, albo chór męskich głosów, nostalgicznie zawodzących AVE MARYJA.

Inny rodzaj smutku wkradł się tutaj. Niedługo zakończy się wrzesień. Być może początek października będzie z moim udziałem. Nie mogę pisać więcej. Usypiam. To ja byłam genialna. Wymyśliłam bajki i cały świat. Powroty chwilowe do szpitali łamały ustalony porządek rzeczy. Wszyscy czekali na mój koniec, zmęczeni bezradnością i przyglądaniem się mojej agonii.

Moje samobójstwo to moja decyzja osobista.

Głos dochodził wzdłuż wschodniej linii parapetu. Strażnicy szpitalnych krat mieli zostać zniszczeni. Zamach został udaremniony, otrzymałam cios w krtań. Metamorfoza mózgu. Doskonały komputer do odbioru przekazu międzygwiazdowego, przewidujący przyszłość.

Uprzejmość jest jedyną, dopuszczalną maską na psychiatrii, która gwarantuje bezpieczeństwo. Chyba, że sanitariusze i tak planują twoją zagładę. Kiedy dojdiesz do tego momentu w swoim życiu, kiedy zrobienie kupy będzie najistotniejszą sprawą, możesz spokojnie odejść. Brak wypróżnienia zakłóca przebieg odbioru, zwłaszcza impulsów wysyłanych z Peru. Policja rozpyła środki chemiczne nad uprawami krzewu kokainowego, które na szczęście nie dają rezultatów, lecz pomysłowość przeciwnika jest iście szatańska. Wyhodowano gąsienicę motyla Malumbia, która zjada uprawy jak stonka ziemniaki. Być może mączka z ciał martwych kokainistów będzie wystarczającym antidotum na gąsienicę.

Nie można tak po prostu zniszczyć wszystkiego jednego dnia, kiedy poświęciło się 6 dni na stworzenie. To nie takie proste, nawet dla Boga.

Zanikanie, rozsypywanie popiołów. Nie potrafię, jak kiedyś, uśmiechać się oczami.

Czytelniku (zakładam, że śmierć ogłosi ten tekst), czy miałeś kiedyś poczucie bliskości nieuchronności kresu, tak namacalnego końca, pomimo że jeszcze chodziłeś, odczuwałeś, pragnąłeś?

Rozwiązywałam zagadkę bytu i natury człowieka. To było oczywiste, że Normalni byli poważnie chorzy na Przeciętność i Nieświadomość, wtłoczeni w tryby maszyny toczącej rzeczywistość w sposób ogłupiający i niosący inny rodzaj zagłady. Radosne drżenia wolnych myśli były natychmiast tłumione przez nakazy, religie, systemy polityczne. Sanitariusze byli gromowładnymi, którzy przykuwali do łóżka, karmili sondą, wtłaczali kroplówki. Z pęcherza wypływał ropiejący mocz. W zdarzeniach, które przesuwwały się na ścianie, ujrzałam wszystkie postacie chwilowych kochanków, ogromne członki ociekające spermą, skrobane dzieci, wlewany fetor do gardła dawał uczucie połknięcia nieczystości. Zabierzcie koszmary!: krzyczałam. Stawałam się cząstką wylewanej magmy z krateru wulkanu, wypływałam gorąca, zalewałam ciała, przestrzenie. Nareszcie było mi ciepło. Moje dzieci węże, które rodziłam każdej nocy w szpitalne łóżko, ssące puste piersi, nie atakowały personelu, były bezużyteczne.

Nastąpiła przemiana. Byłam bardzo delikatnie wyjmowana z łóżka, wyklepywano mnie tam, gdzie jeszcze nie zaatakowała odleżyna, podmywana po wydalinach. Pościel zmieniano mi trzy razy dziennie!!!

Odpadające fragmenty mięśni wietrzono, odsysano flegmę. Kto, kto zapragnął za wszelką cenę utrzymać mnie przy życiu?

Cały świat był wypełniony szklanymi postaciami, które przenikały mnie na wylot, przebijały dłońmi jak doskonałymi ostrzami, wgryzały się szklistymi zębami. Były prawie niewidzialne, a jakże bolesne.

Schowałam się do probówki i oczekiwałam końca eksperymentu. Zakłady psychiatryczne miały na celu utrzymywanie mnie w stanie względnej świadomości, bym odczuwała zaplanowany atak. Liczyłam na ptaki, które mogły mi pomóc w ucieczce i wyczekiwały na drzewach, zaglądały przez kraty.

Lekarze z lubieżnością wychwalali moje postępy w nauce siadania. Powstrzymali zmniejszanie się ciała, utylam o 5 kg. Zaczęłam zaprzeczać, aby ktokolwiek zakładał podsłuchy w liczniku na prąd, czy w szafce z opatrunkami. Robaki zniknęły z piżamy, napady śmiechu były mniej gwałtowne.

Pojawiły się mikroślady pamięci i ogarniało mnie totalne przerażenie dlaczego ONI chcą przywrócić tamten koszmar.

Rozpoczęłam naukę pisania. Być może była to decyzja niewłaściwa. Zorientowali się,

że pamięć wzbudza u mnie szczególny niepokój i podłączono mnie do odsysacza myśli. Kontroluję połączenia. Nie. Nie będę wydawała rozkazów. Gdyby mózg jednego człowieka przeniesiono w ciało drugiego człowieka, czy nie byłaby to cudowna odmiana nowego rodzaju schizofrenii?

Gdybym pisała jedną stronę dziennie, mogłabym żyć jeszcze dwa tygodnie. Nie, nie ma takiej potrzeby.

Ceny kokainy ponownie rosły. Partyzanci nie zdołali obronić wielu plantacji przed ogniem niesionym przez brygady specjalne. Lecz mafia nie poddaje się nigdy. Narkomani przeklinali rządy i inne formy przemocy i terroru. Nic w zamian, tylko zabranie narkotyku. Zaczęłam pracować nad nowym środkiem, który może być podany raz na tydzień. Jesteś przez całe siedem dni na obłądnym haju, bez klucia żył, robienia wlewu w odbył czy łykania prochów. Wierzyłam, że będzie to epokowe odkrycie, nowy rodzaj broni supernarkotyku dla ludzkości. Jeden zastrzyk w tygodniu i ogarnia cię wieczna szczęśliwość, wielka i nieodgadniona. Mogłam dać światu świadectwo mego geniuszu. Siły bezpieczeństwa pragnęły wysadzić laboratorium, odebrałam przekaz z kwiatu w ogrodzie. Policja ponownie odwozła mnie do szpitala, badania zostały przerwane.

Ukrzyżowano mnie w łóżku.

Byłam niezniszczalna.

Byłam jedyna.

Słońce zagłęda do pokoju. Tam podobno jest inny rodzaj światła. Wolę mieć zamknięte oczy.

Czy wiesz jaka jest cena wolności? Bywa najsmutniejsza.

Jesień trochę mnie zawodzi, ostatnia jesień. Być może i w tym jest jakaś mądrość. Nie kochasz, nie cierpisz. Nie jesteś kochany, nikt nie cierpi z twego powodu. To podstawy złudnej wolności.

Mieć i mieć, posiadać. Gromadzenie rzeczy i ich utrata jako największa tragedia. Wielkie nienasycenie, tak jak kolejne dawki narkotyku. No tak, przecież spokojnie można naćpać się rzeczami. Cały świat jest uzależniony od rzeczy.

Wielkie igrzyska śmierci rozpoczęte. AIDS wkroczyło do naszego kraju. Nie będę w nich uczestniczyć. Widywałam wiele podobnych śmierci. Czy AIDS powali człowieka na kolana? Koncentrowałam myśli na łączach siedmiu galaktyk i spowodowałam długotrwałe śpięcie. Jedna z wróżek błagała mnie o darowanie życia, lecz pochyliłam kciuk w dół. Ostateczny wyrok zapadł. Wróżka opadła na Ziemię, w płonącej szacie, wokół unosił się delikatny zapach fiołków, który przypominał dom, matkę. Nagle usłyszałam: Nie zabijaj

mnie. Zaczęłam konstruować niedorzeczne historie, które musiałam opowiadać przed kamerami zainstalowanymi w moim pokoju przez Wielkie Mocarstwo. Nie mogłam pozwolić sobie na wyjawienie prawdziwych myśli i odkrycie Wielkiej Tajemnicy, która się we mnie odradzała. Byłam prześladowana z powodu Największego Geniuszu Wszechczasów, który chciano wykorzystać do zagłady plantacji kokainy i wytropienia wszystkich narkomanów lub do odnalezienia receptury na powiększanie grama narkotyku przez pączkowanie ... do 5000 g w ciągu doby.

Usiłowano wprowadzić mnie w stan hipnozy, lecz owinęłam głowę drutem kolczastym i zamknęłam obwód jaźni.

Nie można było mnie pokonać.

Kochałam słońce, teraz światło dzienne przynosi udrękę, dlatego stale pada i jest ciemno. Śmierć o wszystkim pamięta. Mam nadzieję, że nie będę skoszona ot tak, pomiędzy wieloma zgonami. Chcę mieć swój czas na umieranie.

Gdyby udało mi się przeżyć jeden dzień bez zastrzyku. Nie, to niczego nie zmienia. Jeden dzień nic mi nie daje. O drugim nie jestem w stanie nawet pomyśleć. Przychodzą wieczorami, ciężkimi, wojskowymi butami deptają kwiaty w ogrodzie, stukają do okien, gniewnie wydają rozkazy.

Dlaczego ludzie nie potrafią milczeć, kiedy trzeba i zadręczają innych swoimi opowieściami. Zupełnie nie na miejscu i nie na temat?

Codziennie wymiana ciała, pokonanie jaszczura. Wstrzykiwane pod skórę insekty poruszają się w takt czarodziejskiego fletu.

Wyjadali mi źrenice.

Byłam twórcą kokainy syntetycznej. Mogą zniszczyć wszystkie plantacje, nigdy nie zniszczą sieci laboratoriów. Oddałam patent światu, rozkaz napłynął rurkami destylatora. Byłam posłuszna głosom, melodyjnym i stanowczym, niosącym zapewnienie, że kokaina będzie wieczna.

Trupom odcinałam głowy i nabijałam je na kije słoneczników. Miałam dużo pracy, zbyt wiele, by mnie powstrzymano.

Rozpoczęłam Wielki Eksperyment. Postanowiłam zakończyć produkcję kokainy i innych narkotyków na dowolnie wybranym terenie. Wszystkie kamery zostały nakierowane na cel.

Laboratoria nagle wstrzymały produkcję i dystrybucję, ludzie z gangów zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach, zamarł ruch na melinach.

Na ulicy pozostał ćpun bez towaru.

Zajęłam stanowisko w głównym obserwatorium.

Marcelu, tego czasu nie da się odnaleźć, odwrócić nawet we wspomnieniach. Jest stracony bezpowrotnie, zagubiony, oszalały, przegrany. Biegł we mnie jak przewrotny huragan, trąba powietrzna, muskając i niszcząc wszystko. Zagarniałam, by wypluć zmiażdżone, martwe, nie do odtworzenia oblicze. Antynomia istnienia.

Śmierć dla nosicieli śmierci. Śmierć dla handlarzy narkotyków, morderców, rebeliantów, trucicieli rzek, powietrza, oceanów i ozonu, producentów alkoholu, papierosów, dezodorantów, polityków wydających skrytobójcze rozkazy, terrorystów, producentów broni. Śmierć, śmierć, śmierć.

Narkomani z całego świata (lub jego części) wylegli, a raczej wypelzali, na ulice, z nor, z ciemności, jak szczury, w przeczuciu zagłady. Trwałam na posterunku w obserwatorium. Szpitale przyjmowały pierwsze wycieńczone ciała. Brakowało leków uśmierzających objawy głodu. Część z nich pokładała się na chodnikach, w konwulsjach, z żebraczymi gestami. Przechodnie chowali się w bramach, nie wychodzili z biur, ze sklepów. Wszyscy zdeorientowani. Dać im narkotyku! wołano desperacko. Kwestia ćpunów ma być ostatecznie rozwiązana głośną napisy na murach. Poczulałam moc Najwyższego nad uzależnionymi. Wystarczył jeden mój rozkaz, by ćpuny dostały towar, a świat mógł powrócić do zwykłego porządku rzeczy cichej śmierci, która nie drażni tak jawnie.

Powoli zaczęłam ustępować. Zobaczyłam młodą dziewczynę błagającą o jeden strzał, jeden powiew, draśnięcie w żyłę. To ja konałam na ulicy.

NIE. Natychmiast wznowić produkcję.

Po kilkunastu godzinach świat oddycha z ulgą. (Świat?) Dziesięć tysięcy narkomanów umarło w czwartej dobie, pięć tysięcy popełniło samobójstwo, zamordowano w aptekach trzy tysiące farmaceutów.

Gangi przemytnicze stoczyły kilka nierozstrzygniętych bitew.

Sen narkomana powrócił. Naturalna selekcja słabych i nadwrażliwych na światło. Jestem przerażona, po prostu przerażona. To nieprawda, że z ulgą przyjmuję odejście. Z ulgą przyjmuję jedynie zniknięcie bólu. Chodzenie po powierzchni Ziemi naprawdę jest pasjonujące. Zniszczyłam moją pasję i zapłacę za to. Lecz teraz, śmierci, zabierz ból, niech się stanie mocniejszy blask świecy przed zgaśnięciem.

Pokochać ową nicość. Mam jeszcze kilka godzin czasu. Jutro październik, nie dotrzymam umowy, nie do końca. Nie będę pisała całą noc. W nocy rozmawiam z Kosmosem. Przychodzą, odchodzą. Kosmate stwory o różnych kształtach i kolorach. Gdyby udało się je namalować, zatrzymać na papierze lecz one zmieniają się, znikają i rodzą od

nowa, w innym czasie i miejscu, ze zwielokrotnioną potęgą zniszczenia, wylewają się z ust lub z krocza.

Nie mogę już niczego powstrzymać.

Jak narysować zarys postaci, kiedy nie ma już odbicia w lustrze? Filmowanie sztormu z rozkołysanego statku.

Czy istnieje nieskończona ilość wersji umierania? Coś pulsuje w mojej świadomości, coś, co mam ochotę nazwać oszustwem. Śmierć ostatecznie jest zawsze taka sama. To człowiek stwarza różne możliwości na jej przyjęcie. Zanik funkcji organizmu, plamy opadowe, proces gnilny. Czego więcej można wymagać od ciała?

Cholera, spieszę się. Chcę tę jedną rzecz zrobić dobrze.

„Asymboliczny rozpad tworzy chorobę umysłową” Cassierer. Popęd narkomanii uderza na ślepo i nie znajduje swego symbolicznego wyrazu. Człowiek ginie w masowym stanie nieświadomości.

Moje obrazy umierają, zacierają się ich kontury, barwy mieszają się w nowe kompozycje. Dziennikarze pytają znawców o przyczynę zaistniałej sytuacji... One odchodzą wraz ze mną. Mój ostatni wybór samobójstwo. Psychoza odrzuciła mnie ze swoich ścieżek, jako twór absolutnie niezdolny do dalszego przetwarzania wizji.

Już czekają, bez uprzedzenia, bez znaku porozumienia wbiegają na schody, za moim cieniem, niedoścignionym obrazem. Już są, śmierć o stu twarzach, stu postaciach, zderzenie z Kosmosem.

Śmierć denerwuje się, kiedy zapadam w sen. Zmusza mnie do uczestnictwa. Jestem gotowa do zakończenia opowieści. Już czas na księcia z bajki i ostatni pocałunek, Trzeba tylko wyjść na ulicę i odnaleźć TO miejsce. Śmierć bierze mnie za rękę. To dziwne, jest ciepła i miękka, i prowadzi mnie w tunel jasności. Wszechpotężna ta pani, dręczona niepokojem przez swego władcę ciemności, podąża drobnymi krokami jak gejsza zawsze gotowa do usługi, w pokłonie, ze zmęczonymi powiekami, wywołuje moje imię, nieustępliwa, pochyla się nad ostatnimi chwilami i rozpoznaje uwiecznionego ducha. Odnalazłam najwyższy wieżowiec w mieście i skoczyłam. To był lot. Nie dotknęłam ziemi, ciało zniknęło pomiędzy szóstym, a czwartym piętrem. Na dole pojawił się cień.

P. S. Jutro październik.

Jest to jedynie fikcja literacka. Taką przynajmniej mam nadzieję.

30. 09. 90.

P. S. II Oto kokaina, Przyjacielu. Jest taką, jaką ją napisałam na miesiąc przed samobójstwem.

Maj 1991

I stałoby się. Lecz nagle Dobra Wróżka zatrzymała czas. Wtedy Przyjaciół wszedł na czwarte piętro wieżowca i złapał mnie w objęcia, przytulił. Powiedział, że na mnie poczeka.

Odczułam jego miłość.

Czas powrócił na swoje miejsce w Kosmosie.

Powróciło życie.

I spotkaliśmy się w nieprawdopodobieństwie.

P.S. III

To ja, Barbara Rosiek, specjalistka od post scriptum, byłam przez ponad miesiąc po drugiej stronie lustra. Zobaczyłam tam przeszłość, która się wydarzyła i przyszłość, która mogła się spełnić, gdybym nie powróciła na czas.